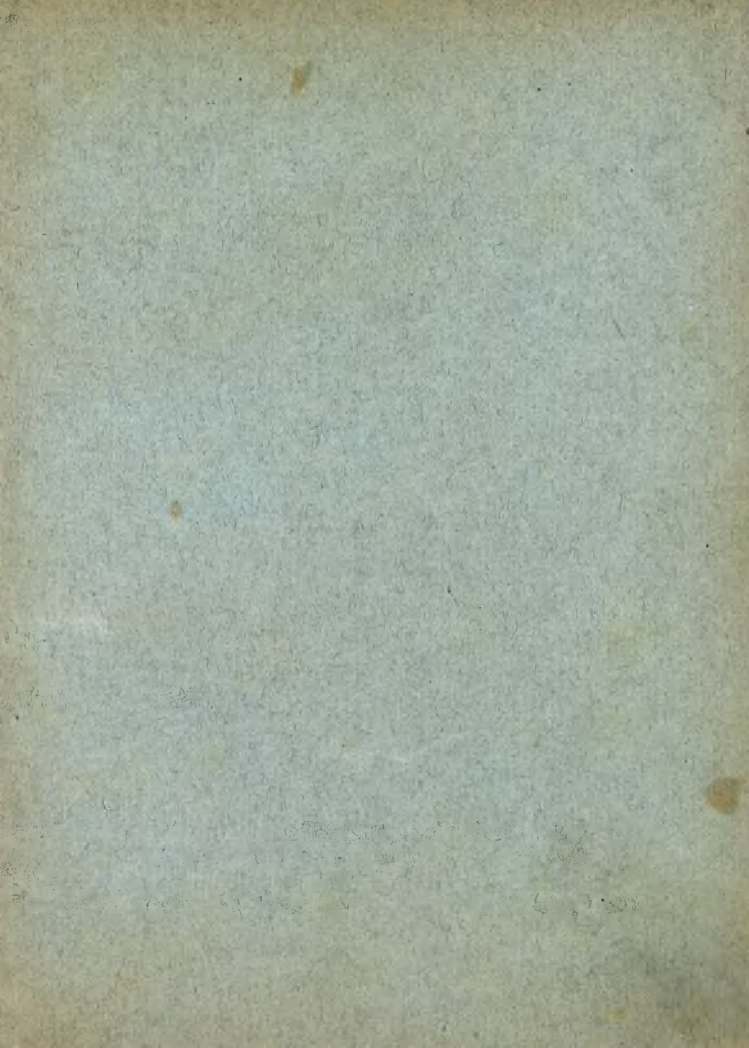




TOM VI.

CZYTELNIA • ROBOTNICZA •



11364/78

Mr. [illegible]



MARSYLIANKA

OPOWIEŚCI I POEZYE

NAKŁADEM ADMINISTRACYI „NAPRZODU“ □
WYDAŁ ZYGMUNT KLEMENSIEWICZ □ W DRU-
KARNI WŁ. TEODORCZUKA W KRAKOWIE 1906

LP II 1

428995

I

K- 79/11364

4.10.



25,-

LEONIDAS ANDREJEW: OTCHŁAŃ.



LEONIDAS ANDREJEW: OTCHŁAN.

I.

Już dzień zbliżał się ku schyłkowi, a oni dwoje szli jeszcze, ciągle mówiąc ze sobą i nie zwracając uwagi ani na czas, ani na drogę. Nawprost przed nimi, na pochyłym pagórku, ciemniał lasek niewielki, a poprzez gałęzie drzew, niby rozżarzony węgiel czerwony, gorzał jasny krąg słoneczny, zapalając drżące powietrze i rozsypując je całe w złotawy, ognisty pył. Tak bliskiem i tak jaskrawem było słońce, że wszystko naokół jakoby znikło, a jedynie ono zostało, równając drogę i kąpiąc ją w potoku barw. Kiedy bijące w oczy światło poczęło dolegać idącym, zawrócili z powrotem i wnet wszystko zagasło przed nimi, wszystko stało się jasnem i spokojnem, małym i wyrazistym. Hen, daleko, o wiorstę może lub dalej, purpurowy zachód ogarnął pień wysokiej sosny i ten stercząc płonął wśród zieleni, jak pochodnia w ciemnej komnacie; droga zaś, na której każdy kamień rzucał teraz długi, czarny cień, cała pokryła się szkarłatną opończą, a złocisto-krwawą aureolą świeciły się włosy dziewczyny, przetknięte słonecznymi promieniami.

Jeden włos cienki wijący się oddzielił się od reszty, wbił się ku górze i kołysał na wietrze, niby złota pajęczyna.

A to, że przed nimi zupełnie ściemniało na drodze, ani na chwilę nie przerwało i nie zmieniło toku ich mowy. Takież same swobodne, serdeczne i ciche słowa płynęły równym potokiem i zawsze były jednakie: o mocy, pięknie i o miłości nieśmiertelnej. Oboje byli jeszcze bardzo młodzi: panienka mogła liczyć lat nie więcej nad siedemnaście, Niemowiecki zaś miał o cztery lata więcej i oboje byli w uczniowskich ubrankach: ona w skromnym, brązowym mundurku pensyonarki, on w pięknym uniformie studenta technologii. I również jak mowa, wszystko w nich było takie młode, piękne i czyste: kształtne i zręczne kibicie, zda się powiewne i rzec można zefirom pokrewne, chód zgrabny, sprężysty i świeże głosy, nawet w powszednich zwrotach dźwięczące jakąś smętną pieszczotą, jaką szemrze strumień w ciłą noc wiosenna, kiedy nie wszystek jeszcze śnieg poschodził z pól ciemnych...

Szli przed siebie, zbaczając tylko tam, gdzie skręcała nieznana im droga, i dwa długie, ustawicznie zwięzające się cienie, śmieszne

swemi maleńkimi główkami, to osobno sunęły naprzód, to zlewały się bokiem w jedno wązkie i długie, jak cień topoli, pasmo. Ale oni nie widzieli swych cieni, i mówiąc on prawie nie odrywał oczu od jej pięknej twarzy, na której różowy zachód słońca zda się pozostawił uchodząc część swych delikatnych kolorów, a ona spoglądała na drózkę w dole i odrzucała parasolką małe kamyczki, śledząc uważnie, jak z pod ciemnego ubrania wysuwał się naprzemian to jeden, to drugi ostry koniuszek małego bucika.

Zatrzymali się nieco, gdyż drogę przerzywał rów o brzegach pełnych kurzu i obsypujących się od chodzenia. Zenaida uniosła głowę i rzuciwszy wokoło zamglonem spojrzeniem, spytała:

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy? Ja tu ani razu nie byłam.

Młodzieniec niedbale obrzucił okiem miejscowość.

— Tak, wiem. Tam, za tem wzgórzem, leży miasto. Daj rękę, a będziemy prędzej.

Wyciągnął swą niespracowaną rękę, delikatną i białą jak u kobiety. Wtedy Zenaidę opanowała wesołość, zachciało jej się samej przeskoczyć przez rów i pobiedz z wołaniem:

„goń mnie!“. Powstrzymała się wszakże; z powagą i godnością, nachyliwszy z lekka głowę, nieco lekliwie wyciągnęła swoją dłoń, poniekąd zachowującą jeszcze delikatne obrzmienie ręki dziecięcej. Wtedy porwała go chęć aż do bólu ścisnąć tę rączkę drżącą, ale również powstrzymał się i przyjął ją z pełnym szacunku ukłonem, skromnie odwróciwszy się na stronę, gdy u rozkwitającej dziewczuszki nieznacznie odsłoniła się nóżka.

I znówu poszli dalej, bez przerwy rozmawiając ze sobą, ale wrażenie rąk przez chwilę połączonych w uścisku, odtąd już ich nie opuszczało. Wciąż czuła ona suchy żar jego dłoni i palców mocnych i pomimo pewnego zakłopotania sprawiało jej to przyjemność, on zaś odczuwał pokorną miękkość drobnutkiej, całkowicie oddanej mu rączki i ciągle miał przed oczyma czarną sylwetkę jej nóżki i mały pantofelek obejmujący ją pieśczośliwie i czule... I było coś rozdrażniającego i budzącego niepokój w tem ani na moment niezamierzającym uprzytomnianiu sobie waziutkiego pasemka białej spódniczki i zgrabnej nóżki, aż nieświadomym wysiłkiem woli stłumił to wreszcie. A wtedy sercu jego zrobiło się tak wesoło i lekko, pierś poczuła się tak swobo-

dną, że i on zapragnął śpiewać na cały głos, wyciągnąć ręce ku niebu i wołać: „biegnij, będę cię gonił!“ — słowami formułki pierwotnej miłości, których odgłosem ongi żyły lasy i grzmiały wodospady.

I ze wszystkich tych pragnień łązy im napływały do gardła.

Długie, zabawne cienie zniknęły i pył na drodze stał się szarym i chłodnym, ale oni nie zauważyli tego, szczebiocząc jak ptaki. Oboje już przeczytali wiele pięknych książek, i świetlane wizerunki ludzi zakochanych, cierpiących i ginących dla czystej miłości, unosiły się przed ich oczyma. W pamięci powstawały fragmenty wierszy, nie wiadomo kiedy przeczytanych, w których miłość przybrała była w szaty dźwięcznej barmonii i słodkiej tęsknoty.

— Czy nie pamiętasz, skąd to? — pytał Niemowiecki, przypominając sobie. — „Otóż nanowo jest przy mnie ta, którą tak kocham, przed którą skryłem, nie rzekłszy słowa, całą swą tkliwość, całą tęsknotę i całą miłość...“

— Nie — odrzekła Zenaida i zadumana powtórzyła: — „całą tęsknotę, i całą tkliwość, i moją miłość...“

— Tak, miłość moją — mimowolnie, jak echo, odezwał się Niemowiecki.

I znowu wezbrana fala napłynęły wspomnienia. Przywoływali na pamięć dziewice, jak lilie białe, niepokalane, przyoblekające czarną odzież klasztorną i samotnie błakające się w parku, usypanym liśćmi jesiennymi, szczęśliwe w swoim nieszczęściu; przypominali sobie i mężczyzn dumnych i energicznych, jednak cierpiących, bo spragnionych miłości i odrobiny czułego kobiecego współczucia. I chociaż smutnemi były te widma wywołane, wszakże w tym smutku jeszcze jaśniej i czystiej przebijała miłość. Wielką jak świat, jasną jak słońce i przedziwnie piękną wyrastała ona przed ich oczyma, i nie było nic czarowniejszego od niej i potężniejszego.

— Czy potrafiłbyś umrzeć za tego, kogo kochasz? — pytała Zenaida, spoglądając na swoją prawie dziecinną rączkę.

— Tak, mógłbym — stanowczo odparł Niemowiecki, patrząc na nią otwarcie i szczerze. — A ty?

— Ja również. — Zamyśliła się. — Przecież to takie szczęście: umrzeć za ukochanego człowieka. Ja bardzo pragnę tego.

Oczy ich spotkały się, jasne, spokojne oczy i coś dobrego przesłały sobie nawzajem, a usta uśmiechnęły się. Zenaida stanęła.

— Zaczekaj — rzekła — na tużurku masz nitkę.

I z zaufaniem podniosła rękę do jego ramion i ostrożnie dwoma palcami zdjęła z nich nitkę.

— Oto! — rzekła, a potem spoważniawszy, spytała: — Czemuś ty taki blady i szczupły? Może przepracowywasz się, tak? Nie powinienś się męczyć, nie trzeba.

— Jakie Twoje oczy błękitne, a w nich niby iskierki, siedzą punkciki błyszczące — odparł, przyglądając się jej oczom.

— A twoje oczy czarne. Och nie, kare i takie ciepłe. A w nich...

Zenaida nie dopowiedziała, co jest w nich, i zmieszana odwróciła się. Twarz jej pąsowała nieznacznie, oczy stały się nieśmiałe i lękliwe, a usta uśmiechały się mimowoli. I nie czekając na uśmiechniętego i bardzo z czegoś zadowolonego Niemowieckiego, sama ruszyła naprzód, ale wkrótce zatrzymała się.

— Patrz, słońce zaszło! — zawołała nie-mile zdumiona.

— Tak, zaszło — odezwał się z niespodzianie ostrym żalem.

Światło zagasło, cienie zamarły i wszystko wokoło stało się bladym, niemym i martwym. Stamtąd, gdzie lśniło się przedtem rozpalone słońce, pełzły teraz bez szelestu do góry chmury ciemnych obłoków i krok za krokiem pożerały kawały niezmierzonej błękitnej przestrzeni. Chmury kłębiły się, bezustannie zde-rzały się, ocieźzały i powoli zmieniały swe kształty przebudzonych ze snu potworów i niechętnie posuwały się przed siebie, jakby wbrew własnej woli, ulegając jakiejś strasznej i nieubłaganej sile. Oderwawszy się od reszty, samotnie miotał się przejrzysty, jasny obłoczek, bezsilny i wylekniony.

II.

Policzki Zenaidy pobladły, usta stały się czerwone, prawie krwawe, źrenice zaś rozszerzyły się nieznacznie; przymykając oczy szepnęła zcicha:

— Boję się czegoś. Tutaj tak cicho. Czyśmy zbłądzili?

Niemowiecki chmurnie zmarszczył swoje

gęste brwi i pytająco obrzucił wzrokiem miejscowość.

Bez słońca, pod świeżym oddechem bliskiej nocy, wydała mu się obojętną i chłodem zionącą; na wszystkie strony roztaczało się szare pole bezbrzeżne, z trawą niziutką i jakby zdeptaną, pełne gliniastych wąwozów, wydm i wądołów. Zwłaszcza dołów było tam wiele, głębokich i spadzistych, były i małe, porośnięte pożółkłą, pełzającą trawą i w nich bez szelustu już układały się mroki milczące, zaś to, że kiedyś gościli tu ludzie, robili tu coś, czyniło tę miejscowość jeszcze bardziej opustoszałą i szczególnie smutną. Tu i ówdzie, niby zgęszczenia chłodnych, niebieskawych tumanów, powstawały lasy, gaiki i zda się wyczekiwały, co powiedzą im opuszczone wądoły...

Niemowiecki zdusił budzący się w nim ciężki smutek, a zarazem uczucie trwogi i rzekł:

— Nie, dotychczas nie zbłądziliśmy. Znam drogę. Naprzód przez pole, potem przez ten lasek. Ty się lękasz?

Uśmiechnęła się odważnie i odparła:

— Nie. Teraz już nie. Musimy jednak śpieszyć się do domu, czas na herbatę...

Rzeźko i energicznie ruszyli z miejsca, wszakże wkrótce zwolnili kroku i chociaż nie patrzyli już więcej na stronę, wciąż mimo to czuli posępną niechęć zoranego pola, otaczającego ich tysiącem oczu przygasłych, nieruchomych i to uczucie zbliżało i przenosiło ich ku wspomnieniom dzieciństwa. A piękne to były wspomnienia, zawsze pełne zieleni i kwiatów, kochania i śmiechu. Rzekłbyś, nie życie to było wcale, jeno pieśń szeroka i słodka, której dźwiękami byli oni właśnie, stanowiąc dwie małe nuty: jedną dźwięczną i czystą, jak dźwięk kryształu, drugą, jak dźwięk dzwonka nieco głuchszą, za to silniejszą.

Ukazali się ludzie — dwie kobiety, wyczywające na krawędzi głębokiego, gliniastego dołu; jedna z nich siedziała, założywszy nogę na nogę i uważnie patrzyła na dół, chustka na jej głowie uniosła się wtedy, ukazując pęk splecionych włosów; plecy zaś zgarbiły się, podciągając do góry brudny kaftan w kwiaty wielkie jak jabłka i z rozpuszczonemi wstążkami. Nie spojrzała nawet na przechodzących. Druga kobieta tuż obok na pół leżała, uniósłszy głowę. Twarz jej była szeroka, ordynarna, o rysach męskich,

a pod oczami na wystających kościach policzek pałały dwie plamy ceglastego koloru, podobne do świeżych zadrapnięć. Ta ostatnia była obrzydliwsza, niż pierwsza i patrzyła na idących śmiało i prosto w oczy.

Gdy przechodzili koło niej, zaśpiewała ochrypłym męskim głosem:

Ach, dla ciebie jedynie, kochanku,
Byłam wonną, jak nieziemski kwiatek...

— Baśka, słyszysz ty? — zwróciła się do pogrążonej w zadumie towarzyszki, i nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zaśmiała się głośno i głupio.

Niemowiecki miał styczność z takimi kobietami, plugawemi nawet wtedy, gdy miały na sobie szaty kosztowne i piękne, nawet przyzwyczaił się do nich, to też przesunęły się one tylko koło jego wzroku i zniknęły, nie zostawiając śladu po sobie. Natomiast Zenaida, która prawie otarła się o nie swoim skromnym, bronzowem ubraniem, doznała jakby czegoś nienawistnego, bolesnego i złego zarazem, co przez chwilę zamieszkało w ciemnych tajnikach jej duszy. Ale po kilkunastu minutach wrażenie to poszło w niwecz, niby cień obłoku, szybko mknący ponad łąką

złocistą i kiedy, wyprzedzając ich, przeszli tuż obok: mężczyzna w kapeluszu i surducie, ale bosi, i taka sama zbrukana kobieta, to ich nie czuła już, chociaż widziała. Nie zdając sobie z tego sprawy, długo jeszcze spoglądała za oddalającą się kobietą i dziwiło ją trochę, czemu to ona ma na sobie tak cienkie i jakby mokre ubranie, jakoś lekko obejmujące jej nogi i podolek z szeroką smugą gęstego błota, wżartego w odzież. I coś trwożliwego, chorobliwego i strasznie beznadziejnego widniało w powiewaniu tego cienkiego i brudnego podółka zaprzepaszczonej na wieki kobiety.

I poszli dalej, głośno rozmawiając, a za nimi niechętnie poruszała się ciemna chmura, rzucając za sobą cień przejrzysty i lekko przylegający. Na bokach szeroko rozpostartej chmury skąpo przeświecały miedziane plamy, i po jasnych, bez szelestu kłębiących się smugach, skrywały się za jej ciemną masą. I zmrok gęstniał tak nieznacznie i pokryjoma, że nie chciało się dać wiary, gdy zapadł zupełnie, a zdawało się, że to jeszcze dzień, tylko dzień mocno chory i cicho konający. Mówili więc teraz o tych strasznych uczuciach i myślach, jakie nawiedzają nas w nocy, kiedy się nie

śpi i kiedy nie zawadzają ci ani szmery, ani mowa, a to szerokie i wielooczne, jak zmora, co się zwie życiem, przyciska się szczelnie do twojej twarzy.

— Czy możesz wyobrazić sobie nieskończoność? — pyta Zenaida, dotykając czoła obrzmiałą ręką i silnie mrużąc oczyma.

— Nie. Nieskończoność... Nie — odpowiada Niemowiecki, także zamykając oczy.

— A ja widzę ją czasem. Po raz pierwszy widziałam ją, gdy byłam jeszcze małą. To były jakby wozy. Stoi jeden wóz, drugi, trzeci i tak dalej, bez końca, ciągle wozy, wozy... Strach... — Drgnęła.

— Dlaczego jednak wozy? — Niemowiecki uśmiechnął się, choć i jemu nie było przyjemnie.

— Nie wiem. Wozy. Jeden, drugi... bez końca.

Mrok gęstniał ukradkiem i chmura już przeszła ponad ich głowami i zda się z przodu patrzyła na ich spuszczone i wybladłe oblicza. I coraz częściej i częściej wyrastały ciemne postacie kobiet brudnych, nędznych i ob-szarpanych, jak gdyby wyrzucały je na powierzchnię nie wiadomo po co pokopane doły i trwożliwie trzepotały się ich mokre podolki.

Ukazywały się to pojedynczo, to po dwie, po trzy, a głosy ich brzmiały donośnie i dziwnie samotnie w tej ciszy zamarłej.

— Kto są te kobiety? Skąd ich tyle? — pytała Zenaida z cicha i bojaźliwie. Niemowiecki dobrze wiedział, kto są one i zdjął go lęk, że oto trafili w tak szkaradną i niebezpieczną miejscowość, ale odrzekł spokojnie:

— Nie wiem. Tak. Nie trzeba o nich mówić. Oto zaraz przejdziemy lasek, następnie będzie rogatka i miasto. Szkoda, żeśmy wyszli tak późno.

Śmiać jej się chciało, że mówi „późno“, kiedy wyszli o godzinie czwartej, spojrzała więc na niego i uśmiechnęła się. Ale jego brwi nie rozchodziły się, przeto zaproponowała na pociechę i uspokojenie:

— Chodźmy prędzej. Chcę już herbaty. Przecież i las tak blisko.

— Chodźmy.

Kiedy weszli do lasu i drzewa w milczeniu zeszły się wierzchołkami nad ich głowami, zrobiło się bardzo ciemno, ale miło i ustronuie.

— Daj rękę — rzekł Niemowiecki.

Z pewnem wahaniem podała mu rękę i jej

lekkie dotknięcie jakoby mrok rozegnało. Dłonie ich były nieruchome i nie uściśniły się mocno, a Zenaida nawet odsunęła się nieco od swego towarzysza, mimo to cała świadomość ich skupiła się w odczuciu tego niewielkiego miejsca na ciele, gdzie zetknęły się ręce. I znowu porwała ich chęć mówić o pięknie i o tajemniczej sile miłości, ale mówić tak, aby nie zakłócać milczenia, mówić już nie słowami, a spojrzeniami. Do głowy przyszła im myśl, że wypada spojrzeć na siebie i chociaż chcieli tego — nie odważyli się.

— A oto znowu ludzie! — wesoło zawołała Zenaida.

III.

Na polance, gdzie było widniej, w milczeniu siedziało przy wypróżnionej butelce troje ludzi i bacznie i wyczekująco przypatrywało się nadchodzącej parze. Jeden z nich wygolony, jak aktor, zaśmiał się i zaświstał, jakby to miało oznaczać: „O-ho!”

Serce młodzieńca ścisnęło się i zamarło w trwodze straszliwej, ale jakby z tyłu popychany, szedł wprost na siedzących, koło których przebiegała ścieżyna. Ci czekali na

to, a trzy pary ich oczu ciemniały nieruchomo i strasznie. I pragnąc dobrze usposobić ku sobie tych ludzi, ponurych i oberwanych, w których milczeniu widniała utajona groźba, wskazać im na swą bezbronność i może wzbudzić współczucie, zapytał smętnie:

— Jak dojść do rogatki? Tędy?

Ale oni nie odpowiedzieli. Ogolony świsnął niewyraźnie jakoś i jakby szyderczo, a dwaj drudzy milczeli, wpatrując się w nich z ciężką i złowieszczą badawczością.

Wszyscy byli pijani, źli i żądni uciech miłosnych i burzenia. Czerwonolicy, opasły, uniósł się na łokciach, potem wahając się, wsparł się, jak niedźwiedź, na łapach i powstał, westchnąwszy ciężko. Kompanowie spojrzeli nań mimochodem i znów z tą samą badawczością utkwili wzrok w Zenaidzie.

— Mnie straszno — wyrwało jej się z ust.

Nie słysząc tych słów, Niemowiecki pojął ich sens po ciężkiem oparciu się jej ręki. I usiłując zachować wyraz spokoju, ale czując fatalną nieuniknioną tego, co stanie się zaraz, ruszył krokiem pewnym i twardym. I trzy pary oczu przybliżyły się do nich, błysnęły i zostały za plecami. „Trzeba ucie-

kać“ — przeszło mu przez myśl i zaraz odpowiedział sobie: „Nie, nie należy uciekać“.

— Kompletny zdechlak z młokosa, aż li-
tość bierze -- wskazując nań, ozwał się trzeci
z siedzących, łysy i z rzadką rudą bródką. —
A dziewczátko niczego sobie, daj Panie Boże
każdemu taką tylko.

I jakoś oschle roześmiali się wszyscy.

— Panie, poczekaj-no, na dwa słówka! —
tubalnie i basowo ryknął wysoki i spojrzał
na kompanów. Ci podnieśli się z ziemi.

Niemowiecki, nie oglądając się, szedł dalej.

— Trzeba zatrzymać się, kiedy proszą —
rzekł rudy. — Bo można i po karku oberwać.

— Do ciebie mówią! wrzasnął dryblas
i w dwóch podskokach dogonił idących. Ma-
sywna ręka opuściła się na kark Niemowiec-
kiego i szarpnęła nim, a obróciwszy się, uj-
rzał przy swojej twarzy ślepią okrągłą, wy-
łupiastą, okrutną. Były one tak blisko, jak-
gdyby patrzył na nie przez szkła powiększa-
jące i wyraźnie rozróżniał czerwone żyłki
na białkach i gnój żółtawy na rzesach. I bez-
władnie wypuściwszy ręce dziewczęcia. Nie-
mowiecki wsunął dłoń do kieszeni i wybąkał
półgłosem:

— Pieniędzy!... Weź sobie pieniądze!...
Z przyjemnością...

Wyłupiaste oczy coraz bardziej wwiercały się weń i błyszczały. A kiedy Niemowiecki odwrócił od nich swój wzrok, to wysoki odstąpił nieco w tył i z dołu, bez zamachnięcia, wałnął Niemowieckiego w podbródek. Głowa studenta zachwiała się, zęby szczęknęły, czapka zsunęła się na czoło i machnawszy rękami, upadł na wznak. Milcząc, bez krzyku, obróciła się Zenaïda i rzuciła się do ucieczki, odrazu zdobywszy się na taką szybkość, do jakiej była zdolna. Wtedy wygolony zawołał dziwnie przeciągle!

— A-a-a!

I z krzykiem popędził za nią.

Chwiejąc się na nogach, porwał się Niemowiecki, ale nie zdażył wyprostować się nawet, jak uderzeniem w potylicę znowu był wnet powalony. Tamtych było dwóch, a on jeden, przytem wątki i do walk nieprzyzwyczajony; jednak długo pasował się, szamotał, drapał, jak rozszoszczona kobieta, szlochał w bezsilnej rozpacz i kąsał. Gdy osłabł zupełnie, wzięli go i ponieśli, opierał się im nogami, ale w głowie poczęło mu huczeć, przestał pojmować, co się z nim dzieje, i bez-

władnie zwisał na niosących go rękach. Ostatnie, co widział, był to kawałek rudej brody, trafiającej mu prawie do ust, a poza nią ciemność lasu i jasną sukienkę uciekającej dziewczyny. Biegła w milczeniu i tak prędko, jak prędko mknęła w przeddzień, kiedy bawiono się w „kotka i myszkę“ — a za nią, dopędzając, biegł drobnym krokiem wygolony. A potem Niemowiecki poczuł wkoło siebie próżnię, z zamarciem serca poleciał gdzieś na dół, grzmotnął całym ciałem — i stracił przytomność.

Wysoki i rudy, wrzuciwszy Niemowieckiego do rowu, chwilę postali, przysłuchując się temu, co się działo na dnie. Ale twarze ich i oczy zwrócone były w tę stronę, gdzie stracili z oczu Zenaidę. Doszedł ich stamtąd wysoki, przytłumiony krzyk kobiecy i ucichł natychmiast. Wtedy dryblas krzyknął ze złością:

— Niegodziwiec! — i rzucił się pędem nawprost, łamiąc jak niedźwiedź gałęzie.

— I ja! I ja! — wołał rudy cienkim głosem, biegnąc w ślad za nim. Był słabowity i zdyszał się, w zapasach wywichnięto mu nogę i czuł się bardzo pokrzywdzonym, gdyż myśl o dziewczynie przyszła mu pierwszemu do

głowy, a dostać mu się ona może ostatniemu. Zatrzymał się, potarł skaleczone kolano, wysmarkał się, przyłożywszy palec do nosa, i znowu pobiegł, wołając żałośnie:

— I ja! I ja!

Ciemna chmura rozpełzła się już po niebie całem i noc nastąpiła ciemna i cicha. W mrokach jej wkrótce przepadła niepokazna figurka rudego włóczęgi, ale długo jeszcze słyhać było nierówny tentent jego nóg, szelest rozsuwanych liści i błagalne, żalosne wołanie:

— I ja! bracia, i ja!

IV.

Do ust Niemowieckiemu nabrało się piasku, który skrzypiał mu w zębach. A najpierwsze, najsilniejsze, co poczuł, odzyskawszy przytomność, była to tęga i orzeźwiająca woń ziemi. Głowa ciążyła mu, jakby ołowiem nalana, wskutek czego trudno nią było poruszać; całe ciało rozbite było i obolałe, a nadewszystko dokuczał ból w plecach, wszakże nic nie było ani złamane, ani zgruchotane. Niemowiecki usiadł i długo patrzył do góry, o niczem nie myśląc i nie wspomi-

nając. Prosto ponad nim zwieszał się krzak z szerokimi, czarnymi liśćmi i przez nie przebijало wyjaśnione niebo. Chmura przesunęła się po niebie, nie spuściwszy ni jednej kropli deszczu i uczyniła powietrze suchem i lekkim, a wysoko, na środku nieba, wzniósł się przekrojony księżyc z przejrzystymi i tającymi brzegami. Dożywał on właśnie ostatnich już nocy, przeto świecił chłodno, smutno i samotnie.

Niewielkie strzępki obłoków szybko przeciągały górą, kędy widocznie dał silny wiatr, nie zakrywały jednak księżycowej tarczy, omijając ją bacznie. W tej samotności księżyc, w ostrożnych ruchach jasnych, górnych obłoczków i w powiewach wiatru, nieodczuwanego w dole, czuło się tajemną głębię panującej nad ziemią nocy.

Niemowielki przypomniał sobie o wszystkim, co zaszło i nie chciał uwierzyć. Bo całe zajście było tak straszne i tak dalekie od prawdy, która nie może być tak potworna, a przecież sam on, siedzący wśród nocy i patrzący skądś z dołu na przewrócony księżyc i przelatujące obłoki, również był niezwykły i niepodobny do prawdziwego. I pomyślał, że jest to tylko rzadki, straszny sen,



bardzo straszny i obrzydliwy. I że te kobiety, których tak wiele spotkali, też są snem tylko.

— To niemożliwe — twierdził do siebie i słabo poruszył ociężałą głową. — To niemożliwe...

Wyciągnawszy rękę, począł szukać czapki, aby pójść, ale czapki nie było. I to, że jej nie było, odrazu wszystko zrobiło jasnem i pojął wtedy, że to, co się tu stało, nie snem jest, ale prawdą okrutną. Następnie, obumierając prawie z przerażenia, bez zwłoki począł wdrapywać się w górę, obrywał się razem z obsypującym się gruntem i znów się gramolił, czepiając się giętkich gałęzi krzewin.

Wylazłszy, pobiegł prosto przed siebie, nie namyślając się i nie wybierając wcale kierunku i długo biegł i krążył między drzewami. Takozż znagła, bez namysłu popędził w przeciwną stronę i znów gałęzie drapały mu twarz i znowu wszystko stało się do sennej mary podobne. Przez moment miał złudę, że już kiedyś zdarzyło się z nim coś podobnego: mrok, niewidzialne gałęzie, drapiące mu twarz i że pędzi dalej, przymknawszy oczy i myśli, że jest to sen. Niemowiecki zatrzymał się, potem usiadł w niewygodnej

i dziwacznej pozie człowieka, siedzącego wprost na ziemi, bez podniesienia. I znowu pomyślał o czapce i rzekł:

— To ja jestem. Trzeba się zabić. Trzeba zabić się nawet, jeżeli to sen.

Raptownie zerwał się i znowu pobiegł, ale opamiętał się i zwolnił kroku, mglisto przedstawiając sobie w wyobraźni to miejsce, gdzie na nich napadnięto. W lesie było zupełnie ciemno, tylko czasem wdzierał się blady promień księżyca i lśnił się, oświecając pnie białawe i las wtedy zdawał się być pełen ludzi nieruchomych i nie wiadomo, czemu milczących. I to również było już niegdyś i także było niby sen.

— Zenaïdo Mikołajewno! — wzywał Niemowiecki, głośno wymawiając słowo pierwsze, a cicho drugie, jak gdyby wraz z dźwiękiem tracił nadzieję, że się ktokolwiek odezwie. I nikt się nie odzywał.

Potem odnalazł ścieżkę, rozpoznał ją i wszedł na polankę. I tutaj już całkowicie zrozumiał, że wszystko to prawda i w przerażeniu mიაռ်tał się na wszystkie strony, wołając daremnie:

— Zenaido Mikołajewno! To ja jestem!
To ja!

Ala odpowiedzi nie było, więc obróciwszy się twarzą w tę stronę, gdzie powinno było znajdować się miasto, Niemowiecki krzyknął:

— Po-mo-cy!...

I znowu rzucał się, coś szepcząc do siebie i szperając po krzakach, gdy naraz przed samymi jego nogami wypłynęła biała, mętna plama, podobna do zastygłej plamy słabego światła. To leżała Zenaida.

— Na Boga! Co to jest? — z suchemi oczyma, ale głosem rzewnie płaczącego człowieka, jęknął Niemowiecki i ukląkszy, dotknął leżącej. Ręka jego natrafiła na obnażone ciało, gładkie, sprężyste, zimne, ale nie martwe i ze wzdrygnięciem oderwał rękę.

— Luba ty moja, gołąbeczku mój, to ja jestem — zaczął szeptać, szukając w ciemności jej twarzy. I znowu w innym kierunku wyciągnął rękę i znowu dotknął się ciała nagiego i tak, gdziekolwiek wyciągnął rękę, wszędy napotykał nagie ciało kobiece, gładkie, sztywne, zda się cieplejsze pod dotknięciem dłoni. Łkając, niekiedy prędko odrywał ręce, a czasem je zatrzymywał i jak samemu sobie, obecnie oberwany i bez czapki, wydawał się nienaturalnym, tak i z tem obnażo-

nem ciałem nie mógł złączyć pojęcia o Zenaidzie. I to, co zaszło tutaj, co uczynili ludzie z tem bezgłósnem ciałem kobiecem, pokazało mu się w całej swojej obmierzłej ohydzie i z jakąś dziwnie przemawiającą mocą odezwało się po wszystkich członkach. Wyciągnąwszy się tak gwałtownie, że stawy zatrzeszczały, wparł tępy, nieprzytomny wzrok swój w białą plamę i czoło mu się zasepiło, jak u człowieka zamyszonego. Przerazenie wobec tego, co zaszło, ostygło w nim potrośszę, a zwinąwszy się w bryłę, leżało na dnie duszy, jako coś bezwładnego i narzuconego.

— O, Boże! cóż to jest? — powtórzył, ale brzmienie tego było nieszczerze, jakby umyślne.

Namacał serce: uderzało słabo, lecz równo, a gdy nachylił się nad samą jej twarzą, to wyczuł oddech słaby i można było sądzić, że Zenaida znajduje się nie w głębokiem omdleniu, ale we śnie pogrążona. I cicho zwrócił się do niej:

— Zeniu, to ja jestem.

I wtedy przebiegło mu przez myśl, że byłoby dobrze, gdyby tak jeszcze długo nie przebudziła się. Wstrzymawszy oddech i rzucawszy wokoło szybkie, lękliwe spojrzenie, ostrożnie powiódł dłonią po jej policzkach

i ucałował najpierw jej zwarte usta, miękko rozchylające się pod jego mocnym pocałunkiem. Przeraziło go to, że może się ona obudzić, odstąpił więc i przycichł. Ale ciało jej nadal było nieme i nieruchome i w jego bezbronnem oddaniu się było coś godnego pożalowania, ale jednocześnie drażniącego i z wielką mocą pociągającego ku sobie. Z niezwykle głęboką tkliwością i zaiste złodziejską przezornością Niemowiecki usiłował narzucić na nią strzępki jej ubrania i to podwójne wrażenie materji sukni i ciała nagiego było dlań ostre jak nóż i niepojęte jak szal.

Był więc obrońcą i napastnikiem zarazem i szukał pomocy od otaczającego ich lasu i zmroków, lecz ani las, ani ciemność nie chciały mu jej udzielić. Tu właśnie odbyły się gody bestyj i przerzucony niespodzianie na tamtą, zrozumiałą i otwartą stronę życia ludzkiego, wdychał w siebie rozlaną w powietrzu palącą lubieżność i rozszerzał nozdrza.

— To ja jestem. To ja! — powtarzał bez myśli, wcale nie czując tego, co go otaczało, pełen przypomnień o tem, jak widział kiedyś białe pasemko sukienki, czarną sylwetkę

nóżki i delikatnie obejmujący ją pantofelek. I wsłuchując się w oddech jej piersi i nie odrywając oczu od miejsca, gdzie była twarz, znowu przesunął ręką. Wsłuchał się i dalej posunął.

— Co to jest? — krzyknął głośno, dławiąc się z rozpacz i zerwał się, przeląkwszy się siebie samego. W pewnej chwili w oczach jego zamajaczyła i znikła twarz Zenaidy. Starał się zrozumieć, że jest to ta Zenaida, z którą dziś szedł spacerem i która mówiła o nieskończoności i nie mógł tego pojąć, usiłował wczuć się w okropność tego, co zaszło, ale poczucie tej okropności było zbyt wielkie, jeśli się wierzyło, że to wszystko prawda, i nie przychodziło.

— Zenaido Mikołajewno! — wołał błagalnie. — Po cóż to wszystko? Zenaido Mikołajewno!...

Ale znękane ciało pozostało milczącym i mówiąc bez związku, Niemowiecki osunął się na kolana. Błagał, groził, upewniał, że się zabije i targał leżącą, podejmując, obracając, tuląc do siebie i prawie wpijając się w nią palcami. Rozgrzane ciało bez oporu poddawało się jego wysiłkom, posłusznie idąc za poruszeniami, a wszystko to było tak

straszne, dzikie i niepojęte, że Niemowiecki ponownie zerwał się i wołał głosem urwanym:

— Pomóżcie mi! — a brzmiało to kłamliwie i jakby rozmyślnie.

I znowu rzucił się na nieopierające mu się ciało, całując, płacząc i czując przed sobą jakąś przepaść, straszliwą, ciemną, nęcącą. Nie był to już Niemowiecki, tamten pozostał gdzieś w tyle, a ten, który był, dusił teraz w uścisku z okrucieństwem zmysłowym ciepłe, oddane mu ciało i mówił, uśmiechając się chytrym uśmiechem obłąkańca:

— Odezwij się! A może ty nie chcesz? Ja kocham cię, kocham!

Z tym samym chytrym uśmiechem przybliżył lekkiem rozszerzone źrenice do samej twarzy Zenaidy i mówił szeptem:

— Kocham ciebie. Ty nie chcesz mówić, ale ty się uśmiechasz, widzę to. Ja kocham cię, kocham, kocham!

Przycisnął mocniej ku sobie to miękkie, bezwładne ciało, swoim martwym oddaniem budzące dziką namiętność, łamał ręce i szepotał głucho, zachowawszy z człowieka jedynie zdolność kłamania:

— Kocham cię. My nie powiemy nikomu

i nikt się nie dowie. I ożenię się z tobą, jutro, kiedy zechcesz. Ja cię tak kocham! Pocałuję cię i ty mi odpowiesz, dobrze? Zenaído...

I z mocą przywarł do jej ust, czując, jak zęby jego wtłaczają się w ciało i z bólu i wysilenia tracąc ostatnie przeblyski myśli. Wydało mu się, że usta dziewczeczki drgnęły. Przez jedną chwilę płomień rozpalonej trwogi rozjaśnił mu myśli, otwarłszy przed nim czarną otchłań.

I pochłoneła go otchłań czarna.

List studenta technologii Niemowieckiego.

„Przenigdy!... Wyznam, że dopuściłem się nieraz czegoś, być może stokroć gorszego, czegoś bardziej bezecnego, ale nie tego...

Opowiem teraz, jak było wszystko, opowiem, niczego nie tając.

Z początku istotnie wszystko było tak, jak opisuje L. Andrejew. Zenaida rzuciła się do ucieczki. W ślad za nią rzuciły się te przekłete włóczęgi, a jeden z nich rzucił się na mnie i w mgnieniu oka, pobity i potłuczony, wpadłem do rowu. W szalonej trwodze począłem jej szukać i niespodzianie natknąłem

się na jej ciało. Padłem przy niej na kolana, okrywałem pocałunkami jej ręce, chuchałem na twarz, targałem nią i wszelkimi sposoby usiłowałem przyprowadzić do przytomności. Rozumiałem, jak strasznej poddano ją hańbie i świadomość tego rodziła rwący ból w mojej duszy. Ale wszystko to toneło w zwątpieniu jakimś i lęku, że się nie zbudzi, że może umrze.. Serce moje tłukło się w piersiach i w dręczącej trwodze myśli moje spletały się w jakiś pstry chaos. Aż wreszcie głęboko westchnęła i otworzyła oczy. O szczęście, o radości! Ona żyje i będzie żyła! I zapomniawszy o wszystkim na świecie, całowałem jej ręce, czując, jak z moich oczu padają na nie łzy jedna za drugą. Uniosłem ją i pomogłem wstać. Rozerwane ubranie odkrywało jej piersi i obnażało ramiona i starałem się przykryć je, o ile to było możliwe. Ale ona oczywiście nie całkiem jeszcze przyszła do siebie, gdyż jakoś dziwnie oglądała się wokoło, jakby nie widząc porwanego ubrania i nagości swych ramion. I naraz przypomniała sobie wszystko i pojęła. Jej oczy rozwarły się szeroko, z piersi wyrwał się jęk i zakrywając drżącymi rękoma swą obnażoną pierś, z głuchem szlochaniem przytuliła się

do mnie i niby szukając obrony, ukryła swoją twarz na mojej piersi. I ja również naraz wszystko pojąłem, pojąłem już nie tylko umysłem, nie tylko swą świadomością, ale całym sercem, całą swoją istotą.

Mój mózg pojmował, że ona, Zenaida, którą, jak mi się zdawało, kochałem więcej, niż życie — że ona cierpi i czeka odemnie pomocy, obrony i pocieszenia. Wiedziałem, że w tej chwili potrzebny jej jestem, jak przyjaciel, potrzebny, jak nigdy, i pragnąłem całą mocą swej duszy utulić ją, ogrzać, ukoić, dodać odwagi, a zamiast tego wszystkiego, czułem, jak chłód jakiegoś wstrętu ogarnia mnie szeroką falą i mrozi serce. Ona stała się dla mnie fizycznie obmierzłą, obrzydliwą i zupełnie obcą. Mimowoli zrobiłem ruch, aby odpechnąć ją i kiedy przytem ręka moja dotknęła się jej obnażonych ramion, to uczułem chłód jej zziębniętego ciała i naraz wydało mi się, że ciało to nie tylko jest chłodne, ale pokryte jakimś zimnym, obmierzłym szlamem. I odtrąciłem ją ręką...

Odtąd nie widzieliśmy się więcej. Słyszałem, że była ciężko chora, ale nie poszedłem do niej.

Jeśli bym więc popełnił ten brutalny czyn,

jaki mi przypisano, byłby to wypadek rzadki, nawet wyjątkowy. Byłoby to chwilowe zamroczenie rozsądku zwierzęcą chucią — nic nadto. To zaś, co stało się ze mną, właśnie dlatego jest straszne, że nie jest obce nikomu. Z przeważną częścią ludzkiego rodzaju zaszłoby napewne to samo. Alboż nie zazdrościmy swym żonom ich poprzednich porywów miłosnych i czy pogodzisz się choć kiedykolwiek z faktem, że twoja, promieniejąca niewinnością bez skazy, oblubienica niegdyś kochała i należała do innego?... Czyliż to wspomnienie nie będzie zatruwało ci każdej chwili zachwyty, jakiego wspólnie będziecie doznawali? I nawet, kochając ją, czy nie będziesz jednocześnie gardził nią i nienawidził?...

A jeżeli twoja narzeczona ulegnie temu samemu, co stało się z Zenaidą, czyliż tak, bez wahania z nią się ożenisz?...

Wszyscy jesteśmy — zwierzęta, nawet gorsi od zwierząt, gdyż tamte przynajmniej są szczerze i naturalne, my zaś zawsze pragniemy i siebie i drugich okłamać, jakoby wszystko zwierzęce było nam obce. Myśmy gorsi od zwierząt... myśmy zwierzęta nikczemne...

Oto wszystko, co zamierzałem powiedzieć

na swoje usprawiedliwienie, a być może i oskarżenie...

Student technologii Niemowiecki“.

List Zenaidy.

„Niezbýt dawno ukazał się list z podpisem „studenta technologii Niemowieckiego“, bohatera opowieści „Otchłań“. Nadzwyczajnie zdziwiona i wprowadzona w kłopot tym listem szczególnym, ja, żona Niemowieckiego (obecnie już inżyniera), ta sama, z którą zaszło to, co opowiedział w swym utworze Andrejew, biorę za pióro, aby oświadczyć wobec ogółu, że list ten nie jest przez mego męża pisany, który pisać go nie mógł. Czuję się więc w obowiązku zrehabilitować imię kochanego przezemnie człowieka, jak również, co być może, jest najważniejsze, poprawić błąd, zrobiony przez p. Andrejewa w konkluzji o „czarnej otchłani“. Mój mąż, bez wątpienia, uczyniłby to osobiście, gdyby wiedział o wyszłym w druku w jego imieniu liście, lecz jeżdżąc w tych czasach w sprawach fabryki, w której pracuje, i nie otrzymując żadnych pism krajowych, istnienia takiego listu zapewne nawet nie podejrzewa.

Zgadzam się w zupełności z autorem pod-

stawionego listu, że istotna okropność opisana przez niego — o wiele jest straszniejsza od tej, której nabawił mię tak rzetelnie i trafnie opisany przez p. Andrejewa nocny napad na mnie w lesie trzech pijanych hultajów. Być odrzuconą przez tego, kogo kochasz, czuć, że żywi on obrzydzenie do ciebie, że jesteś mu wstrętna — cóż może być od tego okrutniejsze?... Na szczęście (*na szczęście* — mówię), wszystko to nie tak było, lecz właśnie tak, jak opowiedział o tem Andrejew. Ciężko mi jest mówić o tem, co przeszłam, ciężko odsłaniać swą duszę, lecz chcę i pragnę opowiedzieć całą prawdę, wszystko wyjaśnić i, stłumiwszy ból serca, zmuszona jestem to zrobić. Może wielu słowa moje wydadzą się zanadto otwartemi, za to w nich mieści się — szczerłość duszy.

Gdy, rozbita i zmordowana, przyszłam wreszcie do przytomności, wciąż jeszcze znajdując się pod przygnębiającem wrażeniem przeżytej okropności, i nie będąc w stanie poruszyć się — najpierwsze, co ujrzałam, była to postać Niemowieckiego, klęczącego przedemną. Szarpał mną, pieścił i błagał, bym przyszła do siebie, a jego usta szeptały:

„Ja ożenię się z tobą, ożenię, Zenaido!“

I ja, nieszczęsna i poniżona, przez kilka tych godzin postarzała o wiele lat, pojęłam całym sercem kobiety, że nie jestem dlań obca, że nie jestem mu wstrętna i że to zajęście fatalne nie zabrało mi go... I wówczas on, szeptem mówiący mi słowa miłości, całując me ręce, rozbity i zrozpaczony, był mi stokroć droższy i miłszy, niż wtedy, gdy wesół i dumny szedł razem ze mną przez pole, deklamując wiersze o tej, której „oddał, nie rzekłszy słowa, całą tęsknotę i całą tkliwość i miłość swoją...” I widzieć go, prawie płaczącego, tak słabego i bezsilnego, pochyłego nad żalosnem, znieważonem uosobieniem swych marzeń młodzieńczych, nademną — stanowiło dla mnie prawdziwe *szczęście*. Rozumiałam, jak gorzkie, jak ciężkie było dlań moje nieszczęście, wiedziałam, czytałam to w jego oczach, że musi przezwyciężyć *odrazę męczyzny* do ofiary pijanych, zbydlęconych ludzi, i wiedziałam, jak zmaga się w nim z jego wstrętem zmysłowym wyniosła dostojałość duszy.

„I zdało mu się, że miękkie usta dziewczki drgnęły i rozchyliły się pod jego palącym pocałunkiem. I pochłonęła go otchłań czarna“ — tak zdaje się, (przytaczam z pa-

mięci, nie mając pod ręką książki) kończy swój utwór Andrejew. Istotnie, usta moje przyjęły ten pocałunek, i był to pocałunek, którego nigdy nie zapomnę, pocałunek męża i przyjaciela, dar miłości i pociechy. Fatalny wieczór zespolił nas wspólną zgryzotą i *rzucał sobie w objęcia, nie w otchłań*. Wrażliwością kobiety pojęłam, jak straszliwa walka wrzała w jego duszy i oceniłam z jakim trudem przyszło mu zwycięstwo, które odniósł nad sobą.

Wiem, mogą mi zarzucić:

„A czyliż nie mógł on obejść się bez *takiego* rozwiązania, a mimo to potem wziąć cię za żonę?“

Na to odpowiem, że właśnie *wtedy*, w ten wieczór okropny, kiedy zdawało mi się, że oto nazawsze przedemną zawierają się wrota szczęścia rodzinnego, że moje nieszczęście robi mnie od wszystkich odosobnioną, (przypomnijcie sobie Madame Baptiste z Guy de Maupassanta), *wtedy musiałam wierzyć*, że ja również mam męża, obrońcę mego i pocieszyciela, i że ten mąż, to najdroższy mi człowiek. I w tym straszliwym momencie ręce moje — szukały jego uścisków, usta moje —

jego ust, szukały tak, jak nie szukały ani przedtem, ni potem — i wtedy stał się mym mężem. Gdzież więc tu otchłań, i czyliż w samej rzeczy ma rację Leonidas Andrejew? Każda kobieta zrozumie, że nie.

Zatrzymam się jeszcze na jednym miejscu z przypisywanego memu mężowi listu:

„Z przeważną częścią ludzkiego rodzaju zaszłoby, napewno, to samo (co z Niemowickim). Alboż nie zazdrościmy swym żonom ich i przednich porywów miłosnych i czy pogodziś się choć kiedykolwiek z faktem, dowiedziawszy się, że twoja, promieniająca niewinnością bez skazy, oblubienica niegdyś kochała i należała do innego?...“

Dziwię się. Jakiż bowiem ma związek ten rzykład z wypadkiem ze mną? Czyliż haniebny napad na mnie wywołany był przez moje miłosne porywy?... Autor listu mówi o narzeczonej, która kochała drugiego i do drugiego należała — to znaczy, *chciała* należeć. A czyżbym ja pragnęła gwałtu, któremu uległam?

Oto jaka jest logika męska!...

I szczęśliwa jestem, wiedząc, że mój mąż tę właśnie oryginalną i bezwzględną logikę przemógł, szczęśliwa, pamiętając, że wyba-

czył mi to, co nie każdy mężczyzna daruje kobiecie — moje nieszczęście.

Znowu powtarzam — gdzież tu otchłań?

Zenaida Niemowiecka“.

List batjara Teodora.

„Wielmożny Mości Dobrodzieju, Łaskawy Panie Rydaktorze!

Jak to kuźdemu wiadomo, dziś moda taka, że „byliludzie“ zaczynają odzywać się ludzkim językiem, bez co na sobie, wyrażając się po waszemu, po gazetowemu, uwagę wszystkich skupiają, to pozwólcież i mnie tych parę słów wydrukować na usprawiedliwienie się od tego wielkiego oszczerstwa, jakie na moją osobę pan Andrejew wymyśla.

Siedzę se wczoraj w karczmie i jak przystoi płóczę se gardziel cesarską „monopólką“. Aż tu podchodzi do mnie szynkarz Tadeusz z takowemi niegrzecznemi słowami:

„Hej ty, golony, piśmienny jesteś, czy nie?“

„A tobie co po tem?“ — pytam sie.

„Ot tak — peda — chciałem cie tylko uprzedzić. Tu bowiem — peda — w gazetach stoi jak drut napisane o jednym pijaku i hulace, że z jedną dziewczynką, ze szlachcia-

nek, nie wedle prawa poswawolił. A że i ty ogolony — peda — a Teodorek, twój przyjaciel, rudy pies, a hultaj Szczepan, też twój przyjaciel i lampart wielgi, to może tyś to z nimi tę właśnie dziewczynkę w lesie uwiódł? Po tobie, łajdaku, wszystkiego spodziewać się można“.

Tu już nie wytrzymałem i wałnąłem pięścią w stół, aż na szynkwasio flaszki podskoczyły.

„Sameś ty łajdak — mówię — trunkowy jezdem, to prawda, tylko Wasyl i Teodor nie moje kolegi, ani przyjaciele i nijakiej ja panny w lasach nie widziałem i niepiśmienny jezdem“.

Wzionem i poszedłem.

Psubrat on, ten Tadeusz, Panie Rydaktorze! Cyrkułowemu co pierwszego trzy ruble bez koperty niesie, policajom codzień po kwaterce, a w niedzielę i w galówki po dwie ofiaruje, bo oni na posterunku stoją, to żeby jedno oko zamykali i jemu na nocny handel skrycie pozwalali, a ciągiem lizus okazji szuka, jakby się to cyrkułowemu i przystawom ¹⁾ przysłużyć, na tylnych łapach zatańczyć. I tylko patrzeć, a taki „donos“ ²⁾ napisze,

¹⁾ Komisarz policyi. ²⁾ Denuncyacya.

że mało na katorgę, na sam Sachalin dostaniesz się!

Ino, że Pan, Panie Rydaktorze, jest człowiek szlachetny i mnie napewno przed nikim z sekretu nie wyda, to powiem mu najprawdziwszą prawdę: winien jest człowiek! Byłem ja, że tak powiem, pochodzenia nie całkiem jakby szlachetnego, tylko matkę miałem, ojca miałem — nieźle se żyli. Dom, gdzie mieszkali przy ulicy Nierogatej, stoi jeszcze i teraz. Chciał mię tata, pamiętam, poduczyć i do rzemioła skierować, ale leniwy byłem i nieposłuszny. Do szkoły nibyto idę, a caluteńki dzień Boży przed menażeryą wystaję, a jak usłyszałem o tyjatrze, to stoję na ulicy, gapię się na publikę i chciałoby się choć jednym okiem tam zażrzeć. Aliści to koń podjedzie i żandarm, co na koniu siedzi, nakrzyczy, albo policaj szturchańców ci wsypie. Ech, wieleby o tem gadać! Ot zeby to z Maksymem Gorkim spotkać się, jemubym wszystko jak i co opowiedział, caluteńką duszę na stół wyłożył, przecież to swój człowiek i naszego brata przewybornie rozumie i opisać potrafi...

Ano, kiedy ojciec z matką pomarli, sam sobie stałem się panem. Dom sprzedałem,

sprzęty, jakie były, sprzedawałem też i do tyjatrů na służbę wstąpiłem. Różnych tam bohaterów grało się, czasem mnicha niemowę, albo jakiego rycerza, czasem oklaski robiłem, a czasem z drugimi kolegami naród mieszczański i inny galanto wyobrażałem. I długo jeszcze mogłem tam służyć, ale kolegi zwąchały, że hopy mię się trzymają i ciągiem do karczmy skręcali. Bo jakżeż nie pójść z kompanią, jak nie fondować? No i rozpiłem się, przepiłem wszystko, co miałem, z tyjatrů na łeb wyleli i stałem się, co się zwie, pijak, hultaj i człek zmarnowany.

I żyję tak oto na białym świecie jedenaśty roczek. Zarobię — przepiję, nie zarobię — kompania upoi, zdarzy się coś ukrasć, ukradkiem, dwa razy już w kryminale siedziałem, chociaż raz jeden całkiem niewinnie — przez surowość sędziego... A mieszkam ja w domu noclegowym, tylko w jakim — nie powiem, bo szynkarz gazety czytuje i zaraz „donos“ napisze: „ten oto golony, na którego podejrzenie miarkuje, tu i tu raczy przebywać“. Nie, braciszku, gryźnij się! A chociaż, na ten przykład, wielce jestem z tego dumny, że ogolony chodzę, jako ze wspomnień o tyjatrze i młodych moich latach, ale

odtąd już nie będę się golił, żeby tym policyjnym kundlom nie dostać się do rąk. I zwa-
mie nie Teodorem już, a całkiem inaczej.

Teraz, Panie Rydaktorze, wyłożę wszystko
jak było. Pan przecieć jeżd człowiek światły
i pojmie, że gdybym chciał, mógłbym wcale
nie pisać, gdybym zechciał — mógłbym ze-
łągać, a jak już chcę, to całą sprawę opiszę.

Byliśmy więc w onym dniu z Wasylem
i Teodorem razem. Obrobiliśmy jedną spra-
wę, na tandetę zażrzali i żwawo huk towaru
zbyli się. Podzielili się potym po trzeciej czę-
ści, jak przystoi. Dokąd droga? Ma się rozu-
mieć do szynku!

„Wasył, Teodor — rzekłem — ot pohula-
libyśmy dzisiaj, jak się patrzy! Jakoś dawno
ja z dziewczętami nie igrał. Chodźmy dziś
na Wądołki, tam babskiego plemienia zawdy
dość, po przystępnej cenie“.

Poszliśmy, brnąć różnemi ścieżkami, coby
nie było znać i zesзли się przy rogatce, tam
kupili my butlę „monopola“ i idziem dalej.
Do lasu przyszli, na polance usiedli, jakoże
zmęczeni bardzo.

„Tu bracia pijem! — zaproponowałem —
a później, kiedy całkiem zciemnieje, babę
w pierwszym lepszym rowie znajdziemy“.

I poczęli my prędko przepalankę żłopać, bo mielim pragnienie, a to latego, co jak długo zarobków nijakich nie było i spraw tyż nijakich obrobić nie udało się, to i wódki mało pili i z dziewczynami spacerowemi oddawna nie przestawali. Tylko jageśmy wódkę połknęli i próżna butelka leżała, staliśmy się oswiali naraz i czekamy na coś, w ziemię patrzym i milczym.

A wtedy to podszedł ten skubent, jak go tam mianują, Niemowiecki, ze swoją kochanką. Jak dojrzałem go zdala, tak wprost aż ślina popłynęła, bo w tej porze głodny i łakomy byłem na kużdą babę. I gwiznął ja tutaj, aby uwagę moich przyjaciół na dziewczynkę skierować. Idzie ten młokos wprost, akurat na nas i niby tak żałośnie pyta: „Którędy przejść do rogatki? Tędy, czy tędy?...“

My nie odpowiedzieli. Teodor i Wasyl, chociaż wstawione, mocno na panne pozierają, ja tyż pozieram i taka mnie wziena zazdrość, aże ja gwiznął: patrzcie-no, bracia, jaką fajną dziewczynę młokos przyłapał! Patrzę, Wasyl na łokcie się wspiera, potym na ręce, potym i cały podniósł się. A my z Teodorkiem sie-

dzimy i ciągiem na pannę spoglądamy, aże oblizując się z łakomości.

Patrzą, panicz z kochanką idą naprzód razem i nie lecą, a ot tak sobie idą, jeno że trzęsą się trochę i tulą bardzo do siebie. Tu Teodorek, łysy czort, pierwszy głos zabrał:

„Patrzcie-no — peda, jaki to marny ten pędrak, aże się niedobrze robi. A dziewczynka śliczności, jak malowanie, daj Boże i nie takim zdechłakom“.

Ja też ośmiałem się i podnoszę się. A Wasyl też zęby szczerzy i łak ci nam peda:

„Ot, niby to są szlachetne, jenteligentne, a także tutaj na Wądoły przyszli. Czy mało miejsca mają w mieście, żeby...“

Pożrę, aż tu Wasyl już za skubentem biegnie: Stój Panie — drze się — stój! Mnie trzeba tobie tylko dwa słówka powiedzieć!...“

Teodorek też w skok. „Trza poczkać — peda — kiedy godnie proszą, a nie, to i po łbie oberwiesz!“.

Tu już Wasyl łapę swoją skubentowi na barki opuścił i za frak go dzierży. Co mu powiedzieć chciał Wasyl, prawdę rzekłszy, to nie wiem, tylko sprawiedliwie to mówię, dziewczynka ta odrazu nam w oczko wpadła i wielgie ciagoty nas brały. Patrzą, zdechły

panicz stchórzył, łzy w oczach, ni to, ni owo mamrocze, kochankę z rąk wypuścił, a sam do kieszeni lezie. No, myślę, lewolwer ciągnie, bo te panicze, jako wielgie tchórze, strachem podszyte, zaczęły tera wszystkie z lewolwerami chodzić, jako że na swej sile polegać nie mogąc. Poźrze, aż Wasyl tyż się widać domyślił, że skubent po lewolwer lezie i jak zamachnie się, jak da temu skubentowi w zęby, aż mu sie nietylko księżyc, ale i gwiazdy przyśniły!

A no, rozumie sie, gdzież mu to, zdechlakowi, z takim morowym drabem, jak Wasyl, w zawody iść: runął na glebę i czapka spadła. A dziewczynka, jak ujrzała to, dawaj drapak!...

„No nie, — miarkuję se — nic z tego. Będziesz ty naszą, gołąbeczko! Wiedz se zawczasu, co to na Wądoły na szpacyr chodzić. Ze skubentem toś gruchała, całowała się, w wawóz spuszczała, a nasz brat to duszy nima i takiej samej miłości, myślisz, nie czuje?“

I gwiznął ja po raz trzeci kompaniom, sygnał im podał, żeby sie rozprawili z paniczem, a sam za panną pogałem się.

Ależ to zwinnie biegła panienka! Jich tam

gimnastyk przeróżnych ucza — a nasz brat dyma tylko wtedy, kiedy przed policajem umyka. Dawniej to naszego brata nie tak prześladowano i dano tym gudłajom umyślnie długie szynele i czapy, coby nie tak prędko za nami uganiali się.

„Stój, panno — wołam — stój! a to gorzej będzie“ i rypam ci za nio, ażę pot wystąpił. Dopełdziłem na skraju polany i łap za spódniczkę, ażę haczyki pękły.

„Co ty — peda — chcesz?“ żałośnie tak i ledwo tchnie, bo była zadyszana.

„A ot ja ci pokażę, co chcę!“ — mówię i obłapiłem ją dwoma rękami. I kiedy poczułem, że jest ona u mnie w rękach, to powiem wprost — już nie człowiek, a zwierz dziki się stałem, takbym i zdusił ją, takbym i pożał! Nie wiele myślący, porwę ją za fartuszek — bez mała szmaty zostały, porwę raz jeszcze, kaftanik zdarłem. Tu ona jak nie wrzaśnie, jak nie zapiszczy, jak nie zatrzepocze się w rękach — skąd, myślę, taka siła wzięła się!

Cóż, myślę, zacząłem — raz kozie śmierć — choć niech swojego dobiję się! I nakryłem jej całą twarz łapą swoją, zatkałem usta i nos, coby nie darła się, a drugą garścią

spódniczkę ściagam. Tylko nieświadomy ja jestem w jenteresach damskich, ni gdzie ha-czyk, nie wiem, ni guzik jaki. Rwę wszystko, nietylko odzież, koszulkę zdzieram.

I spojrze ja na nią, leży oto ona przedemną, jak gołabek, nie tchnie, nie poruszy się, bronić się już nie może, ze wstydu nie zakrywa się i coś mię ścisnęło za serce i wspomniałem se naraz jedną aktorkę, tyż taka młoda była, w tyjatrze grała i wypytywała się mnie o wszystko tak szczerze, tak uprzejmie...

„Nie — mówię — nie będzie tego!”

Aż tu Wasyl nadbiego. Prędko się szelma uwinął.

„Ja go — peda — w rów cisnął w zapamiętaniu. A ty, psie podły, na kolegów zaczekać nie mogłeś? Sameś se dziewczkę przywłasczył. Cóż — peda — tera moja kolejka? Ty odejdz i psa rudego przytrzymaj”.

„Jaka kolejka twoja? — pytam. — Patrzcie-no, czego mu się zachciewa! Masz ty sumienie, czy nie?”

Patrzę, Wasyl chichocze, zęby szczerzy.

„Ach ty, łajdaku — peda — pannę sobie przywłasczył i o sumieniu tyż gada. Coże ty myślisz, że do ciebie jednego będzie na-

leżeć latęgo, żeś ty ją chycił? A skubenta to kto w rów wtrącił? Kto mu dał w bok kułakiem?...“

Tu aż mię coś podrzuciło.

„Łżesz — ryknę — sukinsynu! Sam jej nie tknąłem i tobie tyż nie pozwolę, bo żal jej, tyż dusze ma i nie dla naszego brata jest ona...”

Podbiegł Teodor, zadyszany, odetchnąć nie może, a jak dojrzał dziewczynkę, tak wnet się na nią rzucił. Ja go za kołnierz jedną ręką, a drugą wprost Wasylą mordy trzymam.

„Zabiję — krzyczę — kto dotknie się, zabiję!”

Poźrzę — nie ruszają jej oni, aż Wasyl jak nie huknie mnie w bok kułakiem!

„Bracia — wołam obłudnie — zabili my ją: ot martwa leży i na katorgę pójdziemy!”

Patrzę ją, Wasyl w nogi, Teodorek tyż raptem w drugą stronę skoczył.

Przysłuchuję się, a dziewczynka i w samej rzeczy nie dysze. Znaczy się nie zełgałem kolegom. I ogarnął mię taki strach, że dawaj dymać co tchu i nie obejrzałem się, aż u rogatki.

Tak więc, Panie Rydaktorze, uwierzysz, czy nie uwierzysz, a mówię ci, jak na sądzie

ostatecznym, zem tej panienki cale sie nie tknął i drugich nie dopuściłem, a cale jej szczęście jest to, że w zemdleniu leżała, czy tyż martwą udała. I całkiem napróżno pan Andrejew na nas takie oszczerstwo wymyślił. Niemowiecki, ten choć nibyto całą prawdę powiedział, tylko czego nie widział, kiedy w rowie leżał, właśnie utrzymywać nie może. I niepotrzebnie kiwa on na nas, jakby uniewinnić chciał siebie w tem, *co zrobił on*. Ja pijak, złodziej i oszust i mimo to powstrzymał się — wspomniał na Pana Jezusa i Boga Ojca, a on przecież paniczyk i cewilizacyę ma! I niechby on, sakramencka choroba, wpadł tylko kiedy w moje ręce, to jużby nie wyszedł z nich żywy, chociażbym nawet na swoją duszę wziął grzech śmiertelny!



A. ANDREJEW: MARSYLIANKA.



A. ANDREJEW. MARSYLIANKA.

Było to marne stworzenie: o duszy zająca i bezwstyдной cierpliwości wołu roboczego. Kiedy go los szyderczo i złośliwie rzucił w nasze czarne szeregi, śmieliśmy się jak szaleni: bywają wszak takie śmieszne, takie bezsensowne omyłki. A on — on, naturalnie, płakał. Nie widziałem nigdy człowieka, któryby miał tyle łez spływających tak chętnie — z oczów, z nosa, z ust. Zupełnie jak gąbka przesycona wodą i ściśnięta w pięści. I w naszych szeregach widziałem płaczących mężczyzn, ale ich łzy były jak ogień, od którego dzikie zwierzęta uciekają. Od tych męzkich łez twarz się starzała a oczy odmładzały: jak lawina wyrwana z rozpalonego jądra ziemi, wypalały one niezatarte ślady i chowały pod sobą całe miasta marnych chęci i drobnych trosk. A temu, jak popłakał, to tylko nosek się zaczerwienił i chusteczka zmokła. Zapewne ją suszył potem na sznureczku, bo z kądby brał tyle chustek? Przez wszystkie dni wygnania włóczył się do naczelników, do wszystkich naczelników, jacy byli, i jakich tylko jego fantazya mogła stworzyć, kłaniał się, płakał, przysięgał, że jest bez winy, błagał o litość nad jego młodością, obiecywał nie otwierać ust inaczej, jak tylko do prośb i pochwał. I ci się śmiali

z niego, jak i my, i nazywali go, „malutka nie-szczęśliwa świnka“, i wołali nań:

— Ej ty, malutka świnko!

A on posłusznie biegł na zawołanie: myślał za każdym razem, że usłyszy wiadomość o powrocie do ojczyzny, a oni tylko żartowali. Oni wiedzieli, tak, jak i my, że jest niewinny, lecz męcząc go, chcieli nastraszyć inne maleńkie świnki, jak gdyby i tak niedość tchórzliwe były.

Przychodził i do nas, gnany zwierzęcym strachem samotności; lecz surowe i zamknięte były nasze twarze; napróżno szukał do nich klucza. W roztargnieniu nazywał nas miłymi towarzyszami i przyjaciółmi, a myśmy mu kiwali głową i mówili:

— Spójrz! Usłyszają cię.

I on patrzył na drzwi, ta maleńka świnka. Czyż więc można było zachować powagę? I śmialiśmy się odwykłymi od śmiechu głosami, a on, orzeźwiony i uradowany, przysiadł się bliżej, i opowiadał i płakał na myśl o księżeczkach swoich zostawionych na stole, o matce swojej i braciach, o których nie wie, czy jeszcze żyją, czy też umarli ze strachu i tęsknoty.

W końcu wypędzaliśmy go.

Kiedy rozpoczęło się głodzenie, opanował go strach — niewypowiedziane komiczny strach. Bo

on bardzo lubił zjeść, biedny prosiak, i bardzo się bał miłych towarzyszy, i bardzo się bał naczelników: jak błędny włóczył się wśród nas, i często wycierał chustką ciało, na które występowało coś — łyzy czy pot. I niepewnym głosem zapytał mnie:

— Czy długo będziecie się głodzić?

— Długo — odpowiedziałem surowo.

— A pokryjomu nie jeść nie będziecie?

— Mamunie przysyłać nam będą pierożki — odrzekłem poważnie. Nieufnie spojrzał na mnie, pokiwał głową, i westchnąwszy odszedł. Na drugi dzień oświadczył nam, zielony na twarzy ze strachu, jak papuga:

— Mili towarzysze! Ja też będę się z wami głodził.

A ogólna odpowiedź brzmiała:

— Głódz się sam.

I głodził się! Nie wierzyliśmy, jak i wy nie wierzycie, myśleliśmy, że cośkolwiek je pokryjomu, to samo myśleli dozorczy. A kiedy pod koniec głodzenia się zachorował na tyfus głodowy, wzruszyliśmy tylko ramionami: biedna maleńka świnią! Lecz jeden z nas, — ten, co się nigdy nie śmiał, ponuro powiedział:

— On jest naszym towarzyszem. Pójdźmy do niego.

Majaczył, a tak żalosnem, jak całe jego życie — było to majaczenie. Mówił o ukochanych księżeczkach swoich, o matce i braciach; prosił o pierożki — zimne, jak lód, smaczne pierożki, przysięgał, że jest niewinien i błagał przebaczenia. I ojczyznę przywoływał, przywoływał drogą Francję, — o bądź przekłętym słabe serce ludzkie! Duszę rozdzierał nam tym krzykiem: droga Francjo!

Byliśmy wszyscy w sali, kiedy umierał. Przed śmiercią odzyskał przytomność, i cicho leżał, taki mały, słaby, i cicho staliśmy nad nim my, jego towarzysze. I wszyscy, wszyscy co do jednego, usłyszeliśmy, jak powiedział:

— Kiedy umrę, śpiewajcie nademną „Marsyllankę“.

— Co ty mówisz! — zawołaliśmy wzdrygając się z radości i kipiącego gniewu. A on powtórzył:

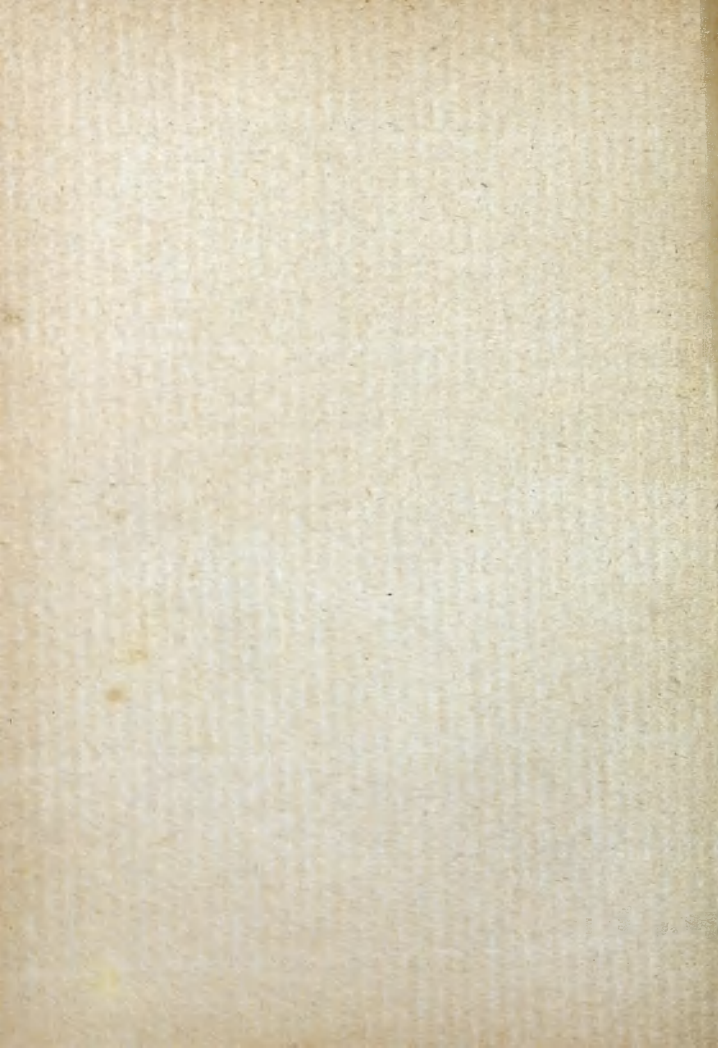
— Kiedy umrę, śpiewajcie nademną „Marsyllankę“.

I pierwszy raz zdarzyło się tak, że jego oczy były suche, a my — płakaliśmy wszyscy bez wyjątku, a jak ogień, od którego uciekają dzikie zwierzęta, płonęły nasze łzy.

On umarł, a my śpiewaliśmy nad nim „Marsyllankę“. Głosami młodymi i mocnymi śpiewaliśmy wielką pieśń wolności, i groźnie wtórzył

nam ocean, i na grzbietach fal swoich, niósł do drogiej Francyi i blady strach i krwawo-czerwona nadzieję. I na zawsze stał się sztandarem naszym, — on, ta marność o ciele zająca i bydła roboczego — a z wielką duszą człowieka. Na kolana przed bohaterem, towarzysze i przyjaciele! Śpiewaliśmy.

Patrzyły na nas strzelby, złowroźnie szczękały ich cyngle i ostre żądła bagnetów wyciągały się grożąco do naszych serc, — i coraz głośniej, coraz weselej dźwięczała groźna pieśń; w przyjacielskich rękach bojowników w tej uroczystej chwili powoli kołysała się czarna trumna. Śpiewaliśmy „Marsylianę“.



WŁODZIM. KOROLENKO: DZIWNA
WYGNANKA. ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○



WŁODZIM. KOROLENKO: DZIWNA WYGNANKA. OPOWIADANIE. ○ ○

I.

Prędko tam stacya, człowieku?
Gdzieżby zaś, wątpliwe, czy przed śnie-
życą dojedziem; patrz-no tylko, jaka ku-
rzawa idzie i to z północy.

Istotnie, gdzież tu dojechać przed burzą!
Ku wieczorowi zaczyna być coraz chłodniej.
Słysząc, jak skrzypi śnieg pod płozami; ziąb
staje się coraz to większy i wiatr północny
coraz to więcej huczy w boru ciemnym, a ga-
łęzie jedlin wyciągają się ku wąskiej leśnej
ścieżynie, groźnie kołysząc się w zapadają-
cym mroku wczesnego wieczoru.

Zimno i niewygodnie. Kibitka zbyt wązka,
bokami ciśnie, a jeszcze do tego przeszkad-
zają nam szable i rewolwery konwojowych
żandarmów. Dzwonek zawodzi jakąś pieśń
długą i monotonna, zlewającą się z jękiem
rozplakanej zawiei.

Na szczęście — widać już samotny ognek
stacyi, położonej na skraju huczącego boru.

Moi „przewodnicy“, pobrzekując całym ar-
senalem broni, otrząsają śnieg w izbie par-

nej i gorącej, chociaż ciemnej i pełnej kopciń.
Ubogo tu i niegościnnie. Gospodyni rozpala
nad knotem dymiące się łuczywo.

— Czy nie macie przypadkiem do zjedzenia czego kobieto?

— Nie, niczego nie mamy...

— Nawet ryby? Wszakże tu od was rzeka niedaleko?

— Dyc były ryby, ino je wydry rozdziobały.

— To może ziemniaki?

— Pomarzę teraz nasze ziemniaki...

Nie było rady; chleba jednakże przyniosła, samowar ku ogólnemu zdumieniu też znalazł się, to i chwala Bogu. Rozgrzaliśmy się więc herbata i przetrącili chlebem z cebulą, której gospodyni dostarczyła w kobiałce. A tymczasem na dworze zawieja rozszalała się na dobre: sypie w okno garściami śniegu drobnego, bije w ścianę z łoskotem, aż nikt światła łuczywa niekiedy chwieje się i drży.

— Nie sposób jechać wam, ludzie — zasnucicie!

— Cóż robić, snucjemy! Tobie, panie, też niema musu kwapić się. Zdażysz chyba... Wiesz, jaki tu kraj, a tam na północ, stokroć gorzej, wierz memu słowu...

W izbie wszystko umilkło. Nawet gospodyni porzuciła kądziel i przędzę i zagasiwszy łuczywo, układała się do snu. Zapanował mrok i milczenie, niekiedy tylko przerywane hukiem nadbiegającej fali gwałtownego wiatru. Nie spałem. W głowie mojej, wśród szumu burzy, powstawały ciężkie myśli i biegły jedna za drugą.

— Jak widzę, nie śpi się panu — odezwał się jeden z „przewodników“, „starszy“, człeczyna dość sympatyczny, roztropny, o twarzy miłej, rzekłbyś, niemal inteligentnej, tego znający swe funkcyje, przeto nie pedant. Nie zwykł on w drodze krępować się, lub też stosować do niepotrzebnych formalności.

— Rzeczywiście, jakoś się nie śpi.

Czas pewien mija w milczeniu, ale słyszę, że i mój sąsiad również nie śpi — widocznie i w jego głowie kotłują się myśli przykre. Drugi przewodnik, „młody podręczny“, śpi snem zdrowego, lecz mocno utrudzonego człowieka. Tylko od czasu do czasu niewyraźnie jakoś mamrocze.

— Dziwię się panom — rozlega się znowu płynący z pełnej piersi głos „starszego“ — ludzie wy młodzi, dobrze wychowani, wy-

kształceni, rzecz można, a ot jak wy swoje życie marnujecie.

— Jakże to?

— Ech, panie. Czyżbyśmy już i tego nawet nie pojmowali?... Dobrze my rozumiemy, że nie do takiego życia wyście stworzeni i nie do takiego z małości przyzwyczajali się...

— Napróżno wy tak myślicie; otóż nie na tem rzecz polega, do czego się z małości nawykło, mieliśmy już czas i odzwyczaić się...

— Czyżby wam, panie, doprawdy wesoło było? — przemówił tonem zwątpienia.

— Niekoniecznie, to pewna. A wam to wesoło?

Milczenie. Gawryłow (takie było nazwisko mego współbiesiadnika), jak się zdaje, o czemś rozmyśla.

— Nie, panie, muszę ci coś powiedzieć... Wierz mi na słowo, czasem przyjdzie taka chwila, że ot wprost nie chciałbyś na świat patrzeć... Z czego to przychodzi, nie wiem, tylko jak czasem nadejdzie, no wprost niby nóż ostry w serce, ot i wszystko.

— Czyżby służba ciężka?

— Służba służbą... Zapewne nie spacer,

władze też, powiedzmy, ostre, a jednakowoż nie z tego.

— Z czegoż więc?

— Kto to wie?...

Znowu milczenie.

— Jeszcze teraz, przecierpiawszy już tyle, zżyłem się. No i władze też mię nie pominęły, na podoficera awansowałem, nijakich kar nie zdarzało się i nawet wkrótce do domu pójdę — w dymisie...

— Cóż więc takiego?...

— A ot ja ci, panie, opowiem, jaki wypadek był ze mną...

II.

Wstąpiłem do służby w r. 1874 do szwadronu, wprost z rekrutów wyszedłszy. Obowiązki spełniałem, że tak powiem, dobrze, wszystko z niezwykłą gorliwością, przeważnie wedle nakazu: czy to gdzie naród rozpędzać, czy to pod teatr, ot, jak sami wiecie. Piśmienności nieźle wyuczony, więc i władze miały na oku. Nasz major był mi rodakiem, a widząc moje zachowanie, wzywa mię pewnego razu do siebie i tak powiada: „Ciebie, Gawryłow, przedstawię do kandydatów na podoficera; czy w poruczeniach nigdy je-

szcze nie byłeś?“ „Nikak niet — mówię —
wasze wysokorodie“. „Otóż — powiada —
na przyszły raz przeznaczę cię do podręcz-
nych; rozejrzysz się: nie święci garnki le-
pią“. „Słuszaju — mówię — wasze wysoko-
blagorodie, rad starat'sia!“

A w ekspedycjach i w samej rzeczy jeszcze
nigdy nie byłem, to jest, nie przymierzając,
jakby z wami, panowie. Aczkolwiek, powiedz-
my, nie filozofia to żadna, a przecież instruk-
cye trzeba sobie przyswoić i roztropność też
pożądana. No, dobrze... Po tygodniu, żeby nie
skłamać, wzywa mię dyżurny do naczelnika
i podoficera onego też przywoływa. Przy-
szliśmy. „Wam — zwraca się do niego na-
czelnik — w ekspedycję trzeba wyruszyć.
To jest twój — wskazuje na mnie — pod-
ręczny. Ten jeszcze ani razu nie był. Pamię-
tajcie — powiada — nie gapić się, pokaż-
cie, dzieci, żeście zuchy; trafia się wam pa-
nienkę z pałacu wywozić. Masz tu — mó-
wi — instrukcye i z Bogiem“. Podoficer Iwa-
now za „starszego“ ze mną jechał, ja zaś
jako „podręczny“ — ot, jak teraz ze mną
drugi żandarm. Starszemu do rąk instrukcye
dają, on pieniądze dostaje, wszelkie wykazy
prowadzi, no, a szeregowiec do pomocy jest

mu dodany: czy to gdzie posłać, czy jakich rzeczy dopilnować, to to, to owo... No, dobrze... Rankiem, skoro świtać poczęło, wychodząc od naczelnika, patrzę, a mój Iwanow już gdzieś zdażył gorzałeczki łyknąć. A był to człowiek, prawdę powiedziawszy, wcale nieodpowiedni — teraz zdegradowany. Przed oczami zwierzchności zachowuje się, jak przystoi podoficerowi i nieraz nawet na drugich intrygi wymyśla — już niejednemu przysłużył się. A ledwo z oczu precz, wnet zdurzeje i zalać robaka — najpierwsza jego powinność. Przyszliśmy do tego „pałacu“ i jak należy, papier doręczyli, stoimy, czekamy...

Ciekawość mnie bierze, jaką to też pannenkę wywozić wypadnie, a podług marszruty wieść mamy bardzo daleko, gdyż nie do miasta przeznaczoną była, ale do włości. To też niezmiernie byłem ciekawy przy pierwszym razie, ledwo wystoję, ledwo wyczekam...

Przeczekawszy w ten sposób prawie godzinę, dopóki jej rzeczy nie pozbierano, a wszystkich rzeczy był jeno węzełek małejki — sukienka jakaś i jeszcze coś, razem nic, sami wiecie. Książki tylko jakoweś były i więcej nic już nie miała; niezamożnych widać rodziców, myślę sobie. Aż naraz wy-

prowadzają; spojrzę ja, taka młoda, dzieckiem prawie wydała mi się, blond włosy w długie warkocz miała splecione, na policzkach rumieńce, jak ogień wtedy pałały, a później widziałem — blada niezmiennie przez całą drogę siedziała. To taka żałość mię wzięła, tak mi się żal jej zrobiło, wprost myślę, no...

Poczęła palto nakładać, kalosze... Rozkazano nam rzeczy obejrzeć; taka zasada przyjęta: według instrukcyi, rzeczy przetrząsnąć obowiązani jesteśmy. „Są jakie przy was pieniądze? — pytamy. Rubel i dwadzieścia kopiejek znalazły się — starszy do siebie zabrał. „Ciebie — mówi — panienko, obrewidować muszę“. Jak nie wybuchnie tu ona! Oczy jej rozgorzały, rumieniec jeszcze większy wystąpił, a usta cienkie, gniewne. Jak nie spojrzy na nas — uwierzysz, panie, kroku postąpić nie mogłem. No, a starszy, wiadomo, wstawiony, wprost do niej lezie... „Obowiązany jestem — powiada — instrukcyę — mówi — mam“. Jak tu ona nie krzyknie, nawet Iwanow i ten od niej się cofnął. Patrzę na nią, na twarzy blada cała, ani kropelki krwi, a oczy całkiem stały się czarne, a zła taka, okrutecznie zła... Nóżką tupa, mówi tak przedko, tylko, że ja, przyznam się, i nie słucha-

łem bardzo, co mówiła. Nadzorca też przełakł się, wody jej przyniósł w szklaneczce. „Uspokójcie się — prosi — bądźcie — mówi — łaskawi, sami nad sobą ulitujcie się“. A ona jak nie napadnie na niego! „Mongoły — woła — draby jesteście“. No i wiele jeszcze zuchwałych mu słów nagadała. Jak chcecie — wszelako przeciw władzy zawsze to nie dobrze. Wyprowadził ją nadzorca do drugiej komnaty, ale natychmiast z nadzorczynią wyszli. „Nic — mówi — niema przy niej“. A ona tymczasem pogląda na niego i śmieje mu się wprost w oczy, oczy zaś takie złe. A Iwanow, wiadomo, dla pijanego morze do kolana, patrzy i ciągle mamrocze: „Nie wedle prawa — powiada — instrukcyę — mówi — mam“. Tylko, że nadzorca uwagi na to nie zwracał.

Pojechaliśmy dalej. Przejeżdżamy przez miasto, ona wciąż z okna karety wygląda, powiedziałbyś: żegna się, czy też znajomych chce ujrzeć. A Iwanow wziął i firankę opuścił, okno zasłonił. Ukryła się w kącie, przitulila do ściany, patrzy na nas. A ja, przyznam się, jednak nie wytrzymałem: wziąłem firankę, nibyto sam chcę popatrzeć, odsłoniłem, żeby jej widno było... Tylko, że ona już

więcej nie patrzyła w okno, a wciąż taka gniewna w kącie siedzi, wargi zagryza, do krwi, myślę, pokąsa.

III.

Pojechaliśmy koleją. Pogoda tego dnia piękna była, było to w jesieni, we wrześniu. Słońce lśni się, powiewa wietrzyk świeży, jesienny, a ona w wagonie okno otworzy, wychyli się na wiatr i tak sobie siedzi. Wedle instrukcyi, jak wiecie, nie wolno okien otwierać, ale Iwanow mój, jak tylko wlaźł do wagonu, wnet począł chrapać; a ja nie ośmieliłem się o tem jej mówić. Potem zdobyłem się na odwagę, podchodzę do niej i proszę: „Panienko — mówię — zamknijcie okno“. Milczy i uwagi nie zwraca, jak gdybym nie do niej mówił, a dobrze wiem — wszystko słyszy. Postąłem trochę, postąłem i potem znów się odzywam: „Przeziębicie się, panienko, zimno jest bardzo“. Obróciła się do mnie twarzą i patrzy, jakby zdziwiła się czemu. Popatrzyła tak na mnie i powiada cichutko: „Dajcie spokój!“ — i znów przez okno wychyla się, a ja machnąłem ręką i odszedłem. Stała się spokojniejszą. Zamknie

okno, w paletko otuli się, grzeje się, myślę: bo wiatr, mówię, świeży był, zimny. Później znów do okna podejdzie i znowu cała na wietrze, widocznie po więzieniu napatrzeć się nie może. Rozweseliła się nieco, wciąż patrzy sobie i jakby uśmiecha się i takem wtedy mile na nią spoglądał, uczciwie mówię, że gdyby władze zezwoliły, to zdaje się, zarazbym ją za żonę pojął, zamiast wygnania.

Z miasta wypadło nam jechać trójką koni. Mój Iwanow, pijaniusieńki, prześpi się trochę i znów gardło płucze. Wyszedł z wagonu, chwieje się. No, myślę se, źle jest, żeby tylko skarbowych pieniędzy gdzie nie roztracił. Wgramolił się na wóz pocztowy, wyciągnął się — wnet chrapie. Usiadła obok nieswojo. Popatrzyła ona na niego, ale to wprost niby na gadzinę jaką. Zebrała się tak, aby go wcale nie trącić, cała do kąta wtuliła się, a ja na koźle usiadłem. Jakiśmy wyjechali, porwał ziąb straszny i ja drzę cały i jej, patrzę, zimno. Zakaszłała mocno, chusteczkę do ust podnosi, patrzę, a na chusteczce krew. Tu mnie jak gdyby coś szpilką ukłóło. „Ech — mówię — panienko, jakże to można. Chorzy wy bardzo jesteście, a ot w jaką pogodę jedzicie, przecież ziąb

straszny. Czyż to tak można?“ — mówię. Rzuciła na mnie oczami, przez chwilę patrzy i jak gdyby się w niej coś naraz zagotowało. „Co ty — powiada — głupi jesteś, czy co? Czy nie rozumiesz, że chyba nie z własnej woli jadę. Też dobry sobie — powiada — sam wiezie i jeszcze ze współczuciem wyłazi“. „Władzy — mówię — dalibyście znać, lepiejby wam w szpitalu poleżeć, niż w taką pogodę jechać. Droga przecież daleka“. — „A dokąd?“ — pyta. A nam, jak wiecie, takich wyjaśnień przestępcom dawać surowo jest zabronione, to jest, dokąd ich wiozą. Widzi więc ona, że zawahałem się i odwróciła się. „Nie trzeba — mówi — ja tylko tak... Nie mówcie już i nie wtrącajcie się do mnie“. A przecież nie wytrzymałem. „Ech — mówię — dokąd wam jechać, nie blisko“. Ścisnęła swoje usteczka, brwi zsunęła i nic na to nie rzekła. Pokiwałem ja głową. „Ot, to to — mówię — panienko. Młodą jesteście i nie wiecie je zcze, co to znaczy“. Przykro mi się zrobiło, a ona popatrzyła, popatrzyła i tak powiada: „Naprawdę wy tak myślicie. Wiem ja dobrze, co to znaczy, a mimo to do szpitala nie pójde. Dziękuję... Już lepiej mi na wolności umierać, niż w szpitalu wa-

szym więziennym. Myślicie pewno — powiada — że od wiatru może zachorowałam, z przeziębienia? Akurat!

„Czy — pytam się — tam wasi krewni mieszkają?“ A to dlatego, że wyraziła się, jakoby u swoich poprawić się pragnie. „Nie — mówi — nie mam ja tam ani rodzeństwa, ani znajomych. I miasto mi obce, ale, zapewne, tacy jak i ja zesłańcy się znajdują, towarzysze“. Zdziwiło mnie bardzo, jakże to ona obcych ludzi swoimi nazywa, czyż to podobne, myślę, aby cię kto, niebogo, tak bez pieniędzy poić i karmić zechciał, do tego jeszcze nieznajomą... Alem się już jej nie pytał, widzę bowiem, brwi marszczy, niekontenta widocznie, po co wypytuję. Tylko ku wieczorowi patrzę: chmury ciągną, powiał wiatr chłodny i naraz deszcz lunął. Błoto i przedtem niewiele wyschło, a tu ci jeszcze taka plucha nastąpiła, ale to, mówię, wprost kisiel na drodze, i tyle. Całe mi plecy błotem opryskało, a i jej się przyzwoicie dało we znaki. Jednem słowem, pogoda, jakby na jej nieszczęście nastąpiła najobrzydliwsza: deszcz tnie prosto w twarz, a chociaż, dajmy na to, kibitka była kryta i rogożą ją osłoniłem, — nic nie pomogło. Wszędy przecieka, spojrzę,

panna trzęsie się cała i nawet oczy przy-
mknęła. Po twarzy krople deszczu płyną,
a policzki wybladły i prawie nie porusza się,
jakby była w omdleniu. Przeląknęłam się wtedy
bardzo, widzę: ciężka z nią sprawa, bardzo
ciężka...

IV.

Do Jarosławia-miasta przyjechaliśmy ku
wieczorowi. Rozbudziłem Iwanowa, zeszliśmy
ze stacyi — kazałem samowar zagrzać.
A z tego miasta wodne statki kursują, tylko
że, według instrukcyi, na statkach wozić su-
rowo nam zabronione. I chociaż dla brata
naszego jest to wygodniej, gdyż *ekonomia*
zaoszczędzić da się, ale nie całkiem bezpie-
cznie. Na przystani, jak wiecie, policyanci
wystają, a i druh żandarm miejscowy intrygę
uknuć też zawsze gotów. I ot panienka tak
wtedy mówi: „ja już pocztą dalej nie jadę,
chcecie, — powiada — to statkiem wieźcie“.
A Iwanow mój, ledwo oczy przetarł, po pod-
chmieleniu, zły, wściekły... „Wam — po-
wiada — o tem rozumować nie wolno. Kędy
powiozą, tędy i droga“. Nic mu na to nie
rzekła, a do mnie tak mówi: „słyszeliście —
powiada — co powiedziałam? nie jadę!“ Od-

ciągnąłem Iwanowa na stronę: „Trzeba — mówię — na statku wieść, tobie przecie wygodniej — *ekonomia* zostanie“. Przystał na to, tylko tchórz się okazał: „Tu — mówi — pułkownik mieszka, żeby zaś czego nie zaszło z nami, idź — powiada — dowiedz się, wybadaj, bo ja słabo się czuję“. A pułkownik niedaleko mieszkał. „Chodźmy — mówię — razem i panienkę z sobą weźmiemy“. Mówię tak, bojąc się, że Iwanow z nietrzeźwości znowu spać runie, więc może być źle. Broń Boże, jeszcze cichaczem odejdzie, myślę, albo też sobie co robi — odpowiadać będziemy. Poszliśmy do pułkownika. Wychodzi do nas, „czego trzeba?“ — pyta się. Więc ma ona wyklada, ale też nie ładnie z nim mówi. Gdyby to poprosiła śliczniutko: tak i tak, zróbcie łaskę; a ona znów po swojemu mówić zaczęła. „Jakiem prawem“ — woła, no i tak dalej; wciąż, wiecie, harde słowa wyraża. Wysłuchał jej i nic, spokojnie tak odpowiada: „Nie mogę — mówi — nic ja nie mogę. Podług prawa... „nie!zia“. Spojrzę, a moja panna aż poczerwieniała, a oczy, rzekłbyś, węgle żarzące. „Prawo!“ — woła i roześmiała się po swojemu, tak jakoś gniewnie i głośno. „Tak jest — odpowiada puł-

kownik — prawo“. Przyznam się, tu zapomniałem się i mówię: „To prawda — wasze wysokobłagorodie, że prawo, tylko ona — wasze wysokobłagorodie — chora jest“. Popatrział na mnie surowo... „Jak się nazywasz? — pyta. — A jeżeli — mówi — pani jest chora, to może raczy pójść do więziennego szpitala?“.

Odw.óciła się i wyszła, słowa nie rzekłszy. My za nią. Nie zechciała iść do szpitala, a i to trzeba powiedzieć, że jeśli już wtedy nie została na miejscu, to teraz w obcym kraju i bez pieniędzy — jużci że nie wypada. Cóż tu poradzić? Iwanów na mnie napadł. — „Cóż — mówi — teraz będzie, niechybnie przez ciebie, głupcze, odpowiadać będziemy“. Rozkazał konie zaprzęgać i nocy przeczekać nie zgodził się, więc byliśmy zmuszeni w nocy wyjeżdżać. Podchodzimy do niej: „Bądźcie łaskawi, panienko — mówimy — konie czekają“. A ona na kanapce właśnie spoczęła, mając zamiar grzać się. Wskoczyła od razu na nogi, stanęła przed nami, wyprostowała się, prosto nam w oczy patrzy, nawet powiem panu, strasznie mi wtedy na nią patrzeć było. „Przekłęci — mówi — i znów po swojemu odezwała się — niezro-

zumiałe. Niby to i po naszemu gada, a nic pojąć niepodobna. Tylko bardzo zapalczywie i żałośnie mówiła: „No — mówi — teraz, jak chcecie, możecie mię zamordować, róbcie ze mną, co się wam podoba. Jadę!“ Na stole stał samowar, ale herbaty jeszcze nie piła. Zagotowaliśmy z kamratem herbatę, więc i jej nalałem. Chleb biały z sobą mieliśmy — jej też odkrajałem. „Skosztujcie — mówię — na drogę. Nic to, choć rozgrzejecie się trochę“. A ona, nakładając kalosze, odwróciła się do mnie, patrzy, patrzy, ramionami ruszyła i tak powiada: „Cóż to za człowiek jakiś? Całkiem ty, zdaje się, pomieszany. Będę ja waszą herbatę piła...“ Dasz, panie, wiarę, jak mię temi słowami dotknęła. Dziś jeszcze wspomnę i to mi serce zabije. Ot pan, przecie, nie brzydzi się z nami jeść ni chleba, ni soli. Rudakowa jegomością wieźliśmy — i ten nie gardził. A ona pogardziła, kazała sobie później na drugim stole oddzielnie zagrzzać samowar i już wiadomo — za herbatę, za usługę trzykroć zapłaciła. — „Dziwna!“

Opowiadający umilkł i na pewien czas zapanowała w izbie cisza, zakłócona tylko równym oddechem młodszego żandarma.

- Nie śpi pan jeszcze? — zapytuje Gawryłów.
— Nie, mówcie, proszę, słucham dalej.

V.

— Wiele ja od niej — ciągnął dalej opowiadający, pomilczawszy nieco — wiele wtedy udręczeń zaznałem. W drodze, jak wiecie, w nocy wciąż deszcz pada, pogoda zła... Jedziemy lasem, las jękiem rozlega. Jadę, a nie widzę jej, bo noc była ciemna, nie widać nic a nic, a dacie wiarę, teraz to ciągle przed oczami mi stoi, do tego stopnia, że i w dzień i w nocy zawsze ją widzę i oczy jej widzę i twarz jej bladą i pełną gniewu i widzę, jak zziębnięta siedzi i cała kędyś w dal zapatrzona, jakby jej jakaś myśl w głowie utkwiała. Gdyśmy odjeżdżali ze stacyi, chciałem ją nakryć kożuchem. „Włóżcie — mówię — ten kożuch, zawszeć to cieplej“. Cisnęła kożuch od siebie. „Wasz — mówi — kożuch, to sobie możecie nakładać“. Kożuch prawdziwie był mój, ale domyśliłem się i tak jej mówię: „Nie mój — powiadam — według prawa się wam należy“. No, okryła się... Tylko, że i kożuch nie wiele pomógł. Gdy rozedniało, spojrzę ja na nią, a jej krew

z twarzy uciekła. Gdyśmy znowu stacyę przejechali, kazała Iwanowowi na kozioł wsiąść. Pomruczał, ale sprzeciwić się nie śmiał, tem bardziej, że podchmielenie minęło go krzywą. Ja z nią razem usiadłem. Trzy doby tak jechaliliśmy, nigdzie nie nocując. Pierwszą rzeczą, powiedziano w instrukcyi, na noclegi nie zatrzymywać się, a w razie wielkiego znużenia, nie inaczej, jak w miastach, gdzie warta stoi. No a przecież wiecie, jakie tu miasta. I sama też wciąż nagli, prędzej chce się na miejsce dostać. Przyjechaliliśmy jednak do celu; niby ciężar spadł mi z ramion, jakeśmy z dala miasto dojrżeli. Także i to muszę powiedzieć: przy końcu, to już prawie na moich rękach dojechała. Widzę, leży na wozie, bez czucia — trząchnie wozem na wyboju, to ona głową o poręcz uderzy. Oparłem ją na prawą rękę i tak już wiozłem — tak przecież lżej; z początku odepchnęła mię. „Precz! — woła — nie dotykaj się!“ A później nic... Może dlatego, że nieprzytomną była... Oczy miała zamknięte, powieki całkiem zciemniały, a twarz prawie pogodna się stała, nie taka już gniewna. I nawet tak było, że przez sen się uśmiechnie i rozjaśni

się cała. Pewno jej, biednej, co dobrego śniło się we śnie...

Gdyśmy do miasta dojeżdżali, przyszła do siebie, uniosła się. Pogoda piękna nastąpiła, słońce wyrzało, więc i ona rozweseliła się.

Ale wkrótce dalej ją wyprawiono, nie długi był jej tu pobyt i znów mnie ją wieźć wypadło, bo tamtejsi żandarmi w rozjazdach byli. A chociaż mocno była zmęczona, jednak odjeżdżała wesółą.

Gdy przyszła pora odjazdu — patrzę: do policyi naród zewsząd napływa, młode panny i panowie studenci, wszyscy pewno zesłańcy.. I wszyscy, niby znajomi, z nią rozmawiają, za rękę się witają, rozpytują.. Pieniędzy jej też coś przynieśli, chusteczkę na drogę. Odprowadzili...

Wesoła jechała, jeno często pokaszliwała i nie patrzyła na nas, jakby nas wcale nie było.

Zajechaliśmy do powiatowej mieściny, gdzie jej mieszkać przeznaczono. Gdy ją w urzędzie notowano, zaraz o jakieś nazwisko pyta. „Mieszka tu — mówi — taki a taki?“ „Jest“ — odpowiadają.

Przyjechał naczelnik. „Gdzie — powiada — mieszkać będziecie?“ „Nie wiem — rzecze —

ale na razie do Rozanowa pójdę". Pokiwał głową, a ona zebrała się i poszła, nie poegnawszy się z nami..."

VI.

— I cóż, więc nie widzieliście jej już nigdy?

— Widziałem, ale już lepiej mi było nie widzieć więcej... I nawet wkrótce ją zobaczyłem. Jakiś z ekspedycyi wrócili, przyszedł nowy rozkaz i znów nas w tę samą drogę wysłano. Teraz już studenta wieźliśmy. Wesoły był, pieśni tego śpiewał i nieźle łyknąć umiał. Tego jeszcze dalej zesłano. Ot przejeżdżamy przez to samo miasto, gdzieśmy ją zostawili i ciekawość mię wzięła dowiedzieć się, jak się jej żyje. „Tu — pytam — nasza panienka?“ „Tu — mówią — ale dziwna ona jakaś, jak tylko przyjechała, natychmiast do któregoś zesłańca poszła i odtąd nikt jej nie widział, z nim razem mieszka... Jedni mówią, że chora, inni bają, że w ciąży, to jest, że niby za kochankę mu służy... Wiadomo, czego ludzie nie zmyślą. A ja wiem przecież, czemu to ona z nim mieszka. Wspomniałem sobie, jak mówiła kiedyś: „Umrzeć

tylko pragnę wśród swoich“. I taka mię ciekawość wzięła, to jest, nie to, żeby ciekawość, a wprost mię coś ciągnie tam... Pójdę, myślę sobie, choć ją zobaczę.

Poszedłem, dobrzy ludzie drogę wskazali; a mieszkali oni na krańcu miasta.

Stoi domek niewielki, drzwi niziutkie. Wszedłem do tego zesłańca, patrząc: czysto u niego, pokoik jasny, w kącie łóżko stoi i parawanem kąt odgradzony. A obok pracownia, warsztat tam stoi maleńki, a na ławeczce druga pościel złożona...

Kiedy wszedłem, ona na posłaniu siedziała, w szal zawinięta, nóżki pod siebie skuliła, szyje coś. A zesłaniec przy niej na ławeczce siedzi, z książki jej coś wyczytuje. Szyje ona i słucha. Stuknąłem drzwiami, a gdy mię ujrzała, zerwała się, chwyciła go za rękę i aż zamarła ze strachu... Oczy jej rozszerzyły się, pociemniały, takie straszne... No, taka sama, jak była przedtem, tylko mi jeszcze bledszą wtedy wydała się. Gdy go za rękę mocno ścisnęła, zląkł się bardzo, rzucił się ku niej. „Co wam jest? — mówi — uspokójcie się“. A nie widzi mię wcale. Potem wypuściła mu rękę, chce się z pościeli podnieść. „Żegnaj! — mówi — żal im widać mojej śmierci spokoj-

nej. Bądź zdrów!“ Tu i on się obrócił, dojrzał mię — jak nie wskoczy na nogi... Myślałem, że mię zabije, doprawdy.

Wiecie, oni myśleli, że znowu przyjechaliśmy ją brać; ale widzi on, że stoję, ni to żywy, ni martwy, wylęknioty i sam jeden...

Obrócił się do niej, za rękę ją wziął i zaśmiał się. „Ależ uspokójcie się! — mówi — a wam — zwraca się do mnie — czego potrzeba?“

Bardzo mi gorzko zrobiło się, żem ich przstraszył. Mówię mu, że odwiedzić ją przyszedłem i ona też mię poznała. Widzę, zagniewana, jak dawniej. Gniewa się i wszystko burzy się w niej. A zdaje się, ot z całej duszy chciałbyś usłużyć, a tu patrzy na ciebie, jakbyś ty podłym gadem był dla niej.

Wreszcie zrozumiał on, o co chodzi, uśmiechnął się i począł mówić coś do niej. Nie wszystko mogłem zrozumieć, przecież wy, panowie, przedziwnie z sobą gadacie. On tak spokojnie mówi, tak cicho, a ona gniewnie i szorstko. Zesłaniec powiada: „Zastanówcie się, wszakże to człowiek do was przyszedł, a nie żandarm...“ A ona do niego: „A czemu służy?“

Jezu! — myślę sobie: azaliż nie człowiek

ja dla niej? Czyliż z własnej woli jej co złego zrobiłem? Taka mię gorycz naszła! „Przepraszam — mówię — żem was przestraszył“. „To nic — mówi — żeś przestraszył. Nie o to chodzi“.

Nieswojo mi się zrobiło. „Bądźcie zdrowi“ — powiadam. Nic na to nie odrzekła, a on obrócił się, rękę mi podał, zapytał, dokąd jedziemy. „Jak będziecie z powrotem jechali, zajdźcie — mówi — proszę bardzo“. A ona patrzy na niego i uśmiecha się po swojemu. „Nie rozumiem“ — powiada. A on jej: „Pojmiecie — mówi — kiedyś, bo serce dobre macie“.

Gdyśmy z powrotem jechali, przywoływa dozorca „starszego“ i tak powiada: „Zostaniecie tu, aż do nowego rozkazu; otrzymałem depeszę: czekać papieru na pocztę“. Zostaliśmy.

Otóż znów do nich poszedłem, to jest nie do nich, a tuż obok poszedłem; zajdę tam, myślę sobie, idąc, niech choć u gospodarza się dowiem. Przychodzę. „Źle — powiada gospodarz — aby tylko nie zmarła. Obawiam się, że mogą mnie do odpowiedzialności pociągnąć, a to właściwie dlatego, że popa wołać wcale sobie nie życzy“. Stoimy tak, roz-

mawiając, a o tym samym czasie zesłaniec wyszedł. — Ujrzał mnie, przywitał i mówi: „Znów przysłicie? Cóż — powiada — wejdź, proszę“. Wszedłem więc pocichutku, a zesłaniec za mną kroczy. Popatrzała ona i pyta: „Znowu ten człowiek? Czyś to ty go zawezwał?“ „Nie — mówi — nie wołałem, sam przyszedł“. Tu już nie mogłem wytrzymać i mówię do niej: „Panienko — mówię — czemu wy dla mnie serca nie macie, czyżem ja wróg wam jaki?“ „Wróg — mówi — alboż ty nie wiesz? Wróg!“ Głos jej stał się słaby i cichy, na policzkach rumieńce płoną, a jej twarz tak dalece miłą mi była, zdawało się, jak na anioła w cerkwi nie napatrzyłbym się na nią. Widzę: nie żyć ci już, niebogo, na tym białym świecie i począłem o przebaczenie prosić, aby tylko, myślę sobie, bez przebaczenia nie zmarła. „Darujcie mi — mówię — jeśli wam jakie zło wyrządził“. Znowu, widzę, coś się w niej burzyć poczyna. „Darować! Jeszcze czego! Nigdy ja wam nie daruję, przenigdy!“

Opowiadający znów umilkł i zamyślił się. Potem już ciągnął ciszej, i prawie streszczając się. „I znów między nimi zawiązała się rozmowa. Pan jesteś człowiek wykształcony,

mowę ich powinien rozumieć, więc panu powiem, co sobie zapamiętałem. Kiedy poczęli mówić ciszej, spokojniej — wsłuchałem się. Słowa te zapadły mi w duszę i po dziś dzień je pamiętam, tylko znaczenia nie wiem. On w te słowa odezwał się: „Pojmijcież — mów — nie przebaczenie jest ważne, ale uznanie człowieka. Darować — inna rzecz — mówi — on by sam, może, nie darował“. A potem już całkiem dziwnie mówić poczęli; jedno na drugie spogląda, wprost w serca sobie patrzą, a wciąż się kłóca... On do niej: „Wy — mówi — sekciarka jesteście“. „A wy — ona do niego — człowiek chłodny, obojętny“. Jak powiedziała te słowa, to on aż na miejscu podskoczył. „Obojętny? — powiada — wszak sami wiecie, żeście nieprawdę powiedzieli!“. „Niech i tak będzie — mówi — i zaśmiała się do niego — a wy to pewno prawdę?“. „A ja — powiada — prawdę“. Zamyśliła się, rękę mu przeciągnęła, on przyjął jej rękę, a ona w twarz mu patrzy i mówi: „Tak, może i macie słuszość“. A ja stoję, jak głupi, oczy wytrzeszczam, a w piersiach aż coś targa za serce i łyzy w oczach stoją. Potem obróciła się do mnie, popatrzała tak jakoś bez gniewu i rękę podała. „Oto —

mówi — co ja wam powiem: nigdy ja, nigdy wam nie daruję. Słyszycie? — wrogi jesteśmy. No, a rękę wam daję, życzę wam człowiekiem stać się. Znużona jestem“ — zwróciła się do niego... Wyszedłem więc...

VII.

...Umarła wkrótce. Kiedy chowano ją, nie widziałem, bo naczelnik mię wezwał. Ale na drugi dzień zesańca spotkałem. Podchodzę doń, patrzę: Boże, jakże zmieniony!.. Wzrostu był wysokiego, rysy twarzy poważne i dawniej tak jakoś życzliwie patrzył, a teraz prawie jak zwierz na mnie spojrzał. Podał mi rękę, a potem naraz moją rękę wypuścił i sam odwrócił się. „Nie mogę — mówi — widzieć cię teraz. Oddal się, bracie... na litość, oddal się!... Później, jeżeli zostaniesz w mieście, zajdź sobie proszę“. Opuścił głowę i poszedł, a ja na kwaterę skierowałem się i tak mię wszystko znękało, żem przez dwa dni prawie jadła do ust nie przyjmował. Żal!...

Na trzeci dzień wzywa nas naczelnik i mówi: „teraz możecie wyruszyć; przyszedł papier, chociaż późno“. Znów, zdaje się, wieść

by ją nam wypadło, ale już widać sam Bóg zlitował się i zabrał“. Żandarm westchnął i trzykrotnie żegnać się począł. ...Tylko ot co jeszcze później, ze mną zdarzyło się — przecież nie koniec jeszcze... Jadąc z powrotem, zajechaliśmy na jedną stacyjkę. Wchodzę do pokoju, na stole samowar tam kipi, przekąsek pełno i przy nim staruszczenka siedzi, gospodynię herbatą ugaszcza. Czyściuteńka taka, maleńka, wesola sobie i gadatliwa. Wciąż gospodyni o swoich sprawach rozpowiada.

„Otóż — powiada — zebrałam manatki, dom, który w spadku otrzymałam, sprzedalam i jadę do swej gołąbki. Toż to ucieszy się! Pewnie, że i połaje, pogniewa się, wiem to, że się pogniewa, a jednak rada będzie...

Pisała do mnie, nie kazała przyjeżdżać, abym się nawet w żadnym razie nie ważyła przyjeżdżać do niej... No, ale to nie!“...

Tu mnie jak gdyby kto w lewy bok szturchnął. Wyszedłem do kuchni. „Co za staruszenka?“ — pytam dziewczyny kuchennej. — „A to — powiada — tej właśnie panienci, którą tamtego razu wieźliście, rodzona matka“. Czy uwierzycie, tu aż mną coś zachwiało. Widzi dziewczyna, żem na twarzy

zmieszany, i pyta: „Co tobie — mówi — wójaku? powiedz“. „Ciszej — mówię — ta pannenka umarła“. Tu dziewczyna ta, a trzeba powiedzieć, była ona wielki gałgan, z przejezdnymi swawoliła, a naraz, jak nie załamię ręce, jak nie wybuchnie płaczem — i z izby precz. Wziąłem ja czapkę i też wyszedłem; ale słyszę, przechodząc, jak staruszką z gospodynią wciąż w saloniku gadają, i wspomnę, tak mnie tej staruszczeni lęk porwał, taki wielki, że wyrazić niepodobna. Pobrnąłem zwolna po drodze, a już potem dogonił mię z wozem Iwanow, więc wsiadłem...

VIII.

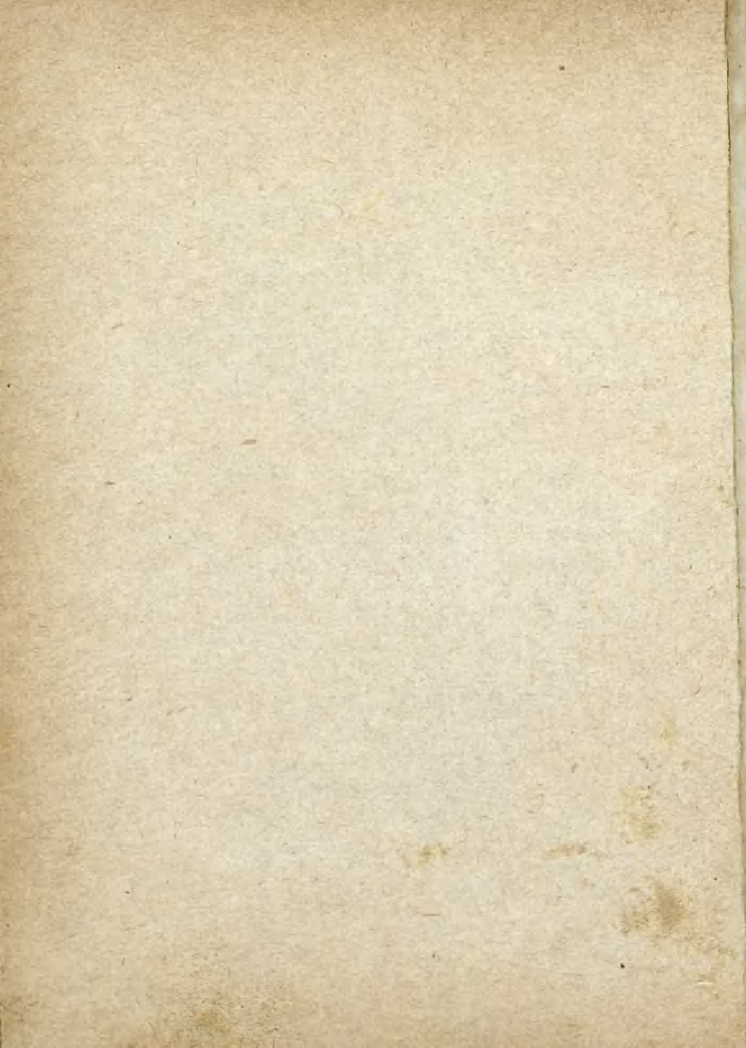
... Ot, jak się rzecz miała!... A dozorca widocznie zawiadomił władze, że do zesłańców chodziłem, i jarosławski pułkownik również doniósł, jakem się za nią ujmował — jedno z drugim — przebrała się miarka. Nie chciał mię już naczelnik do awansu przed tawić. „Jaki z ciebie podoficer? — powiada. — Baba jesteś! Do karceru cię, durniu, wsadzić!“

Alem ja wtedy w zobojętnieniu znajdował się i niczego bynajmniej nie żałowałem!...

Tylko tej zagniewanej panienki zapomnieć nie mogłem, a i teraz to samo: wciąż stoi mi przed oczami. Coby to mogło znaczyć?! Ktoby mi to wyjaśnił? A nie spisz ty, panie?...

Nie mogłem zasnąć... Tajemny zmrok porzuconej w lesie chałupki dręczył mi duszę, a żalosna postać zmarłej dziewczyny zrywała się w niej wśród głuchych szlochań wichury...

JÓZEF JEDLICZ: Z JESIENNYCH
PIEŚNI. ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○



I. O ŚWICIE. ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

Śmierć sąsiadka, po krótkim wywczasie,
Weszła świtem do karczmy otwartej —
I wypłwszy gorzałki pół kwarty,
Czarny pieniądz kładzie na szynkwasio...

Idzie w kuźnię kowala pijaka:
Czach-mach! dzień-dyń! — już ostra jej kosa, —
Zapłaciła czarnego miedziaka
I wśród brzasku szła chuda i bosa — —

Drzwi się przed nią tajemne otwarły:
W mrocznej krypcie, w drewnianej trumience,
Leży ciało dziewczyny umarłej,
W krzyż splecione na piersiach ma ręce.

Mądrym okiem mierzy zimne ciało,
Patrzy w nieme, zastygłe policzki,
Potem ściąga koszulę z niej białą,
Z nóg zdejmuje nowiutkie trzewiczki...

Wdziała buty, koszulę bielutką,
I drewniane przymknęło nazad wieko, —
Wreszcie z krypty wyszła pocichutko
I udała się w podróż daleką. — —

II. CZEMU NIE WIERZYSZ? ○ ○ ○ ○ ○

Czemu nie wierzysz w cuda, gdy serce twoje

[śniąco,

Gdy myśli wiszą w dalach jak orły błędzące?

Czemu nie wierzysz w cuda, gdy serce twoje pęka

I sen twój dzwoni w ciszy jak smutna

[piosenka? —

Czemu nie wierzysz w cuda, gdy zorza się pali,

By zrodzić krwawe słońce tam, w oddali — —

Czemu nie wierzysz w cuda, skoro zwiędło

[kwiecie,

A widma zmarłych wiosen gdzieś błędzą po

[świecie...

Przecż nie wierzysz, gdy ból twój łączy z mroków

[dźwiga,

A smutek łączy — w kryształ i perły zastyga! — —

Czemu nie wierzysz, czemu — gdy z pod śnieżnych

[brzemion

Wydziera się nanowo ból twój niedorzecznie! — —

Gdybyś zapłakał! — duchem i sercem oniemion —

Uwierz w cud! — a nie umrzesz i będziesz żył

[wiecznie!...

III. PIEŚŃ NĘDZARZY. ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

O straszny, krwawy wieków błąd!
O strasznej Doli ręka!
Na naszych twarzach brud i trąd;
Na naszych twarzach męka! — —

Na naszych licach wieczne łzy!
Choć ludźmi my — choć ludźmi my — —

Na świecie tyle blasku, barw,
I kwiecia, i błękitu!
W powietrzu słodkie gędźby harf
I święta pieśń zachwytn — —

Lecz nasze oczy mroczą łzy,
I głusi my — i głusi my...

Na świecie stosy mądrych ksiąg
I złotej Myśli przedza, —
Lecz księgi nie dla naszych rąk:
Nam wieczna noc i nędza — —

Na świecie żywej Pieśni cud,
A dla nas głód — a dla nas głód — —

Nad światem zorzy złoty łuk,
Nad nami pomrok smutny — —
Nad światem włada dobry Bóg,
Lecz dla nas On okrutny — —

Dla innych tęcze rajskich mar,
Nam widmo kar — nam widmo kar...

Na świecie płacze Sławy pleśń,
Co koł i pociesza —
I słońcem złoci grobów pleśń,
I martwych z grobu wskrzesza — —

Lecz nasze — ziemia wchłonie łzy!
Na wieki szczeźniem niby psy!...

IV. ROZSTANIE. ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

— Czemu odchodzisz, czemu? — W łunach
[i udreće

Zgasileś serce moje — moje ciało...

Zwiedną, jak białe kwiaty, moje wonne ręce,
Oczy w łzy się rozplyną, roztopione w męce,
A serce — — — W lód zastygnie, nie będzie
[plakało! — —

Czemu odchodzisz, czemu? Co ciebie tam w dali
Nęci? — — Co w odmet duszę twoją woła?
Jakbyśmy się nawzajem nigdy nie kochali — —
Oto duch mój się zachwiał, rozpaczą spętany,
I klęka w proch przed tobą — — Zlituj się
[nademną,

Zaklinam cię na wszystkie bogi i szatany — — —
— I cóż mi twoje serce? twoje białe ciało?
Wczora przez serce moje wionął wichor boży
I serce me przestało marzyć i załkało —
I łkaniem się wydarło w przepaść mroków ciemną.
Lecz ty nie usłyszałaś!! — — Co mię nęci?
[woła? —

Oto wczora w krwawiących błyskach mrącej zorzy
Ujrzałem wśród płomieni białego anioła — —
Oto wczora ujrzałem w zmierzchu potępieńczy
Wzrok Nędzy spłomieniony w krwawej tęczy, —
A wracając, w milknących gromach suda,

Słyszałem jęk straszliwy mego ludu — — —
Bądź zdrowa, odejść muszę, już nie Kocham
[ciebie —
Kocham ból, i nieszczęście, i gwiazdy na niebie!..

V. HYMN SŁONECZNY. ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

Wstańcie, Smutni! Już oczy otrzyjcie płaczące!
Słuchajcie! — Oto w gromach idzie złote słońce — —

Krwawą twarz wynurzyło z otchłani błękitu
I swe klątwy ogniste rzuca w mroki szare —
I młóćąc w światy purpurowe gromy świtu
Gra swych gniewów królewskich płomienną
[fanfary — — —

Wstańcie, o Smutni, co pod biczem doli twardej,
Kamień życia toczycie z pochyloną głową!
Wy, co plwacie nań śliną szyderstwa i wzgardy,
Aby potem opluty znów toczyć nanowol!..

Słońce hymn zanuciło! cudny hymn wieczności!
Gra na strunach błyskawic, gra coraz bezkreśniej —
I lecą w dół, jak gromy, słowa złotej pieśni
I ziemia drży struchlała od krzyku światłości! — —

Wstańcie, Senni, co w klątwie nudy, od powicia
Toczą padolami ciężki kamień życia!

Wstańcie! — — Zaprawdę kamień ten, to łom
[szlachetny,
Lecz wy go w mrok toczycie po pochylni! —

I przez was on, o Brudni, skalany i szpetny
I nie on ciężki jest, lecz wy bezsilni! — —

Wstańcie i spójrzcie! Toć bajeczny głaz marmuru,
Który od was, o Słabi, domaga się kształtu — —
Hej! — Jak gromko on woła o jasność lazuru
I o świętą, miłosną moc twórczego gwałtu!

O spójrzcie w Cud, co wędnie w waszej piersi,
W serce spójrzcie, co jeszcze skrzy się, łzawi —
I powstańcie wyniośli, czystsi, szczerzi, —
Twarz w górę! Niech się w świetle złotym
[krwawi! — —

Jasło, 1905.

H. H. EWERS: PANOWIE PRAWNICY



H.H. EWERS: PANOWIE PRAWNICY (Z NIEMIECKIEGO). ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

Wierz mi pan, panie asesorze — mówił prokurator — prawnik, który po dwudziestoletniej, powiedzmy, praktyce, nie dojdzie do przekonania, że każdy, ale to bezwzględnie każdy wyrok, który wydaje, jest nikczemnie niesprawiedliwy — jest na pewno bałwanem. Każdy z nas wie, że prawo karne jest wyrazem najwyższego wstęcznictwa, że trzy czwarte paragrafów wszystkich kodeksów karnych na świecie nie odpowiadają już duchowi czasu w chwili, kiedy zaczynają być prawomocne. Cierpiące na uwiad starczy noworodki, jakby powiedział mój sekretarz, najdoświadczniejszy gaduła w naszym miasteczku.

— Pan jesteś czystej wody anarchistą — zaśmiał się prezydent sądu krajowego. — „Prosit“ — panie prokuratorze.

— „Prosit“ — odrzekł tamtem. — Anarchistą? może być. Przynajmniej przy naszym stole, w zafanem kółku prawniczym. I nie dałbym głowy za to, że wszyscy szanowni panowie, nie wyłaczając pana prezydenta, dzielają moje zdanie.

— No — opracowuje się znówu poprawione i prawdopodobnie powiększone wydanie ustawy karnej w Berlinie — zaśmiał się prezydent. —

Kropnij pan memoriał i roześlij komisji, a może dostaniemy wreszcie coś rozsądnego.

— Wyśmiewacie mnie, bo czujecie, że mam słuszość. Memoriał... Cóż z tego przyjdzie? Ani ja, ani nikt inny nie tu zmienić nie potrafi. Moglibyśmy dać małe poprawki, kilka bezdennie głupich paragrafów wyrzucić, ale w zasadzie jest wszelka poprawa niemożliwą. Prawo karne, samo w sobie jest nosobieniem niesprawiedliwości.

— No, dajże pan spokój! — zawołał prezydent.

— Przypomnę panu jego własne słowa — uplewał się prokurator dalej. — Przypomina pan sobie, że bankier, którego niedawno skazaliśmy za fałszowanie kredę na cztery lata kryminału, zawołał po ogłoszeniu wyroku: „Ja tego nie przeżyję“! Wystarczało spojrzeć na niego, żeby mieć pewność, że nie doczeka on końca swej kary. Przy następnej rozprawie, nędzarz, którego zasądziiliśmy na tę samą karę, zawołał ucieszony: „Dziękuję, prześwietny sądzie, przyjmuję karę. W tym pensyonacie wcale nie jest źle“. Wtedy powiedział pan prezydent do mnie: „To nie jest żadna sprawiedliwość. To, co dla jednego jest powolną, męczeńską śmiercią, drugiemu sprawia prawie radość. To przecie skandal“. Czy nie było tak?

— No tak i zdaje mi się, że wszyscy obecni na sali podzielali moje wrażenie.

— Ja też tak myślę — potwierdził prokurator — ale to jest tylko mały przykład wieczystej niesprawiedliwości wszystkich kar. — Musi pan uwzględnić, że w obu wypadkach ja, jako prokurator, jak i panowie sędziowie pozwoliliśmy wpływać na siebie, jak zawsze (jesteśmy sami, możemy być szczerzy) w każdym poszczególnym wypadku ulegamy wpływom, dopóki nie skostniejemy, nie stanemy się bezmyślnymi maszynami, żyjącymi paragrafami.

W stosunku do bankiera, w którego domu bywaliśmy gościnnie podejmowani, któregośmy z innej strony cenili nawet — byliśmy łagodni. Mniej niż cztery lata nie można mu było dać ze względu na setki egzystencyj, zrujnowanych przez niego. Z drugiej strony zuchwałe, wyzywające zachowanie słę owego palacza, odrazu nas rozdrażniło. Inny w podobnym wypadku byłby dostał najwyżej połowę tej kary. A przecież bankier był nieporównanie ciężiej ukarany!

Czem jest dla człowieka z ludu krótkie uwięzienie za kradzież? Niczem. Odsiaduje karę i zapomina o niej nazajutrz. Ale prokurator lub sędzia, któryby np. za naruszenie depozytu był zasądzony choć na jeden dzień — traci swoją

egzystencję, stanowisko i jest społecznie zabity. Czy to jest sprawiedliwość? A weźmy jeszcze jaśkrawszy przykład. Czem jest więzienie kryminalne dla człowieka wszechstronnie wykształconego — przerozafinowanej kultury, jak Oskar Wilde. Czy został słusznie, czy niesłusznie zasądzony, czy ów sławny paragraf przestarzały należy do średniowiecza, czy nie — to obojętne. Pewną rzeczą jest, że ta sama kara jego stokroć dotkliwiej udręczyła, niż każdego innego! Każde prawo współczesne opiera się na powszechnej równości, której nie mamy i kto wie, czy kiedykolwiek będziemy mieli. I dlatego każdy poszczególny sąd musi być mniej lub więcej niesprawiedliwym. Temida jest boginią niesprawiedliwości, a my, moi panowie, jesteście jej służebnikami.

— Nie rozumiem, panie prokuratorze — zawahał się sędzia — dlaczego pan z tymi poglądami nie sprzeniewierzysz się pani Temidzie?

— A jednak powody są jasne — odparł tamten — nie jestem niezależny i mam rodzinę. Wierzę mi pan, że tylko to nędzne utrzymanie wiąże wielu z nas do tego sędziowskiego stołka, mimo zrozumienia wartości naszego zawodu. Zresztą gdzieś indziej — trafiłbym na to samo. Cały nasz system społeczny jest ugruntowany na opoce, która się nazywa: niesprawiedliwość.

— Przypuśćmy, że tak jest — powiedział prezydent — to musi pan przyznać, że inaczej być nie może. Po co więc dotyczyć bolesnej rany, która zagoić się nie da?

— Bolesna, tak, ale rozkosznie bolesna — twierdził prokurator. — Po każdej rozprawie odczuwam gorzki, obrzydliwy smak w ustach, a że i panu tak się dzieje, miałem dowód w uwadze, którą panu prezydentowi przypomniałem. Czuję się maszyną, niewolnikiem nędznych formułek drukowanych i chciałbym przynajmniej czasem mieć prawo swobodnej myśli i bezstronnego sądu. Tak przy piwie. Wie pan?

Przyłożył dzbanek do ust i wypróżnił go, a potem ciągnął dalej:

— Widzicie, moi panowie, w najbliższy wtorek mam znowu być obecnym przy straceniu. Udręcza mnie ta myśl...

Referendarz podniósł żywo głowę.

— Ach, panie prokuratorze — przerwał — czy nie zechce pan wziąć mnie z sobą. Tak o-kropnie chciałbym widzieć egzekucję. Proszę bardzo.

Prokurator uśmiechnął się gorzko.

— Naturalnie — powiedział. — Oczywiście. Ja też tak zebrałem pierwszy raz. Gdybym panu odradzał — nie zgodziłbyś się na to. A gdybym

odmówił, przy następnej sposobności weźmie pana inny kolega. Ostrzegam tylko, że będziesz się pan wstydził, jak nigdy w życiu.

— Dziękuję — powiedział referendarz i podniósł szklankę. — Bardzo dziękuję. Czy wolno, panie prokuratorze?

Prokurator nie słuchał, pogrążony w ponurych myślach.

— Wie pan — zwrócił się do prezydenta — najgorsze jest to, kiedy zbrodnia najbezpieczniejsza, niktzemna zbrodnia, wydaje nam się wyższą, wyższą o wiele od nas, pozornie świętych przedstawicieli sprawiedliwości. Jeżeli nam w swojej bezdennej potwerności okaże wielkość, która w strzępy poszarpie cały nasz papierowy rozum, kiedy jak ogień przetopi na piersiach cały ten pancerz ustaw i paragrafów, że zostajemy nadzy i mali jak pełzające robaki.

— Jestem ciekawy — podjął prezydent.

— O, opowiem panom taki wypadek — ciągnął dalej prokurator. — Jestto najsilniejsze wrażenie, jakie odniosłem w życiu. Było to przed czterema laty 17 listopada, kiedy uczestniczyłem przy straceniu mordercy Koschiana. Mizi, jeszcze dzbanek — zawołał.

Gruba kelnerka nadbiegła. Nadsłuchiwała już uważnie opowiadania o gilotynie i mordercach.

— Niech pan opowiada — nalegał referendarz.

— Zaczekajcie — zawołał prokurator, podniósłszy szklankę — piję na cześć tego najniebezpieczniejszego ze wszystkich zbrodniarzy, tego wyrzutka społeczeństwa, który jednak, może, był bohaterem. — Powoli i w milczeniu postawił kufel na stole. — Z wyjątkiem pana referendarza, zapewne wszyscy panowie byliście już na tem pięknem widowisku. Wiecie już, jak się osoba, odgrywająca w niem główną rolę, zwykle zachowuje. Taki morderca, jak go np. znakomity poeta Aristide Bruant w swojej pieśni „La Roquette” przedstawia, zdarza się bardzo wyjątkowo. Poeta każe kończyć swojemu bohaterowi przemówieniem: „Na rusztowanie wejdę śmiało. I nie zadrzę na widok ostrza, ani kark mój nie wstrząśnie głową, która spadnie do wora edycieta”. Było to bardzo piękne postanowienie mordercy, ale obawiam się, że stało się zupełnie inaczej. Przypuszczam, że stało się tak, jak z jego berlińskim kolegą, którego ostatnią noc tak opisuje Hans Hyan: „Jak nagle gazu płomień przybladł. Przez kratę ranek już prześwieca. No, Maksie, śmiało. Żadnych dreszczów. Już idą... Jaki? Czy już czas? A tak, mam jeszcze zjeść śniadanie! Co?... J?... Tak, jestem go-

tów!... Panie pastorze... O matko!... matko!...". Ten przerażający krzyk: matko! matko! który nigdy już nie wyjdzie z pamięci człowieka, który go raz słyszał, to jest najcharakterystyczniejsze. Są wprowadzić wyjątki, ale zdarzają się nadzwyczaj rzadko; czytacie, panowie, wspomnienia kata Krantsa, a dowiecie się, że z pomiędzy jego stu pięćdziesięciu sześciu delikwentów, tylko jeden zachowywał się „po męsku“, mianowicie Nabiling, który wykonał zamach na cesarza, a był, jak wiadomo, lekarzem.

— Cóż on zrobił? — zapytał referendarz.

— Tak się pan tem interesuje? — zagadnął prokurator. — Otóż rozgadał się najprzód ze swoim katem i kazał sobie całą sprawę wyjaśnić. Przysrzekł mu, że odegra swoją rolę wspólnale i prosił, żeby mu nie kazał wiązać rąk. Krants odmówił temu żądaniu, choć jak się później przekonał, mógł śmiało na nie się zgodzić, gdyż Nabiling ukląkł spokojnie, położył głowę na pniu, przechylił ją trochę i błysnąwszy lewem okiem, zapytał: „Czy dobrze tak, panie kacie?“ „Trochę ku przodowi“ — odpowiedział mistrz. Lekarz poprawił głowę i zapytał znowu: „Dobrze tak?“ Ale na to już jego partner nie odpowiedział. Już było tak dobrze. Obciążona żywym srebrem kosa spadła i głowa, która oczę-

kiwała jeszcze odpowiedzi, spadła do worka. Krauts przyznaje, że pospieszył się tak ze strachu, bo gdyby raz jeszcze odpowiedział, nie byłby miał siły wykonać wyroku. Tutaj mamy więc wypadek, ale wystarcza przeczytać akta tego szalonego, bezcelowego i niedorzecznego zamachu, żeby nabrać pewności, że Nobiling był nienormalnym człowiekiem. Zachowanie jego było od początku do końca nienaturalnem.

— A jakież jest normalne zachowanie skazanego podczas egzekucyi? — zapytał jasnowłosy asesor.

— Opowiem to panu — odpowiedział prokurator. — Przed kilkoma laty byłem przy straceniu kobiety, która wraz ze swoim kochankiem otruła męża i troje dzieci. Znałem ją jeszcze przed procesem i sam ją oskarżałem. Była to szorstka, zupełnie wszelkich uczuć pozbawiona kobieta, tak że nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie nazwać Medeą, zwłaszcza, że miałem trzech profesorów gimnazjalnych między przysięgłymi. Otóż w Dortmund, gdzie wyrok miał być wykonany, plac egzekucyi jest dość odległy od więzienia, poza miastem. Podczas kłedy ją wieziono, o godzinie 5 rano, krzyczała bez ustanku, jak opętana: „Mamo! Mamo!” i pewnie krzykiem tym rozbudziła wszystkich mieszkań-

ców. Jechałem z lekarzem sądowym w drugim powozie: pozatykaliśmy sobie uszy palcami, co oczywiście nic nie pomogło. Zdawało nam się, że droga ta trwała nieskończoność, kiedyśmy nareszcie wysiedli, doktor dostał morskiej choroby, a i mnie co prawda niewiele się należało! Na miejscu stracenia udało się tej kobiecie uwolnić związane z tyłu ręce i przysłonić niemi kark. Wiedziała, że cios tam ma uderzyć i broniła rozpaczliwie zagrożonego miejsca. Trzej pomocnicy kata, herkulesowej siły, czeladnicy rzeźnicy, przyskoczyli do niej i oderwali jej ręce. Ale zaledwie jedną oderwali, chwytala się ta nieszczęsna drugą ręką za szyję. Jak szpony wpijały się jej paznogie w żywe ciało. Wiedziała, że tak długo życie jej jest uratowane, dopóki broni go tą bezsilną dłonią. Ta nikczemna walka trwała przeszło pięć minut, a przez cały czas bił o świeże powietrze poranku jej rozdzielający serce krzyk: „Mamo! Mamo! Mamo!“ Wkońcu jeden z parobków, któremu odgryzła palec tak, że doktor musiał go później amputować, stracił cierpliwość. Podniósł pięść i z całą siłą uderzył nią w czaszkę kobiety. Padła ogłuszona na ziemię i oczywiście tę chwilę wyżytkowano... Otóż, panie asesorze, zachowanie tej kobiety... to jest naturalne!

— Pfuj, do dyabła! — zaklął asesor i wychylił swoją szklankę do dna.

— Zapewniam pana — zawołał prokurator — że pan nie zachowałbyś się inaczej — ani ja. Byliśmy razem przy ostatniej egzekucyi. Jakżeż było? Zupełnie tak samo, jak i przy tych, które inni panowie mieli nieszczęście widzieć, jak przy tych wszystkich czternastu, do uczestniczenia w których zmuszał mnie obowiązek.

Napół umarłych ze strachu ciągnie ich się przez podwórze, jeżeli nie chcą iść, wpycha się ich na gilotynę czy na rusztowanie. Zawsze to samo, prawie bez różnicy. I zawsze ten rozpaczliwy krzyk do matki, jakby ona mogła tu coś pomódz. Słyszałem skazańca, który zamordował swoją matkę, wołającego jak szaleniec w chwili wykonania wyroku, matki na ratunek. Jest faktem: nie z dorosłymi, dojrzałymi ludźmi ma do czynienia kat, ale z dziećmi, ze słabymi, bezsilnymi dziećmi.

— Z tem wszystkiem — przerwał prezydent — zupełnie pan zapomniał o tem, co nam pan miał opowiedzieć.

— A to вина referendarza, taki był ciekawy. Ale powracam do rzeczy. — Wypróżnił szklankę i mówił dalej: — Musicie mi przyznać, moi panowie, że wrażenie obecnych przy straceniu jest okropne. Możemy sobie sto razy wmawiać: to

dzieje się słusznie, błogosławieństwem dla ludzkości jest stracenie takiego człowieka i t. p., nie pozbedziemy się jednak wrażenia, że zupełnie bezbronnemu wydzieramy życie. Ten krzyk: — matko, matko! — który nam nasze dzieci, naszą matkę przypomina, oskarża nas, że bierzemy udział w podłej, nikczemnej zbrodni. I wszystko, czem usiłujemy się przekonać, przynajmniej podczas tych piętnastu minut, wydaje nam się frazesem. Czy nie tak?

— Co do mnie, w zupełności podzielałam to wrażenie — potwierdził prezydent sądu.

— Sądzę że i inni panowie mi przyświadczą. Proszę o tem pamiętać podczas mego opowiadania. A więc, przed czterema laty, miałem oddać w ręce kata mordercę Koschiana. Był to łotr, który mimo swoich dziewiętnastu lat, był już dwadzieścia kilka razy karany, a jego zbrodnia była jedną z najpotworniejszych, jakie miałem w mojej praktyce. Napadł w lesie na innego włóczęgę przeszło siedmdziesięcioletniego, zabił go pałą i odebrał mu całą gotówkę, siedm fenigów. To byłaby rzecz dość pospolita, ale możecie sobie wyobrazić zwyrodnienie tego człowieka, jak się dowiedzie, że on w trzy dni później poszedł — jak to zresztą często czynią mordercy — na miejsce zbrodni, znalazł starego

w przydrożnym rowie jeszcze żywego, charczącego. Każdy inny byłby uciekł z przerażenia, goniony przez furię, jakby powiedział mój sekretarz. Ale Koschianowi ani się to śniło. Bił swoją pałką o twardą głowę starca, aż go dobił. Potem został jeszcze przy nim przez pół dnia, aby się przekonać, czy tym razem już dobrze spełnił swój czyn. Przeszukał mu jeszcze raz kieszenie, oczywiście nadaremnie i spokojnie poszedł dalej. Po kilku dniach chwycono go. Na razie wypierał się, ale kiedy poszlaki świadczyły przeciw niemu, opowiedział cynicznie powyższe szczegóły. Naturalnie krótka rozprawa skończyła się wyrokiem śmierci. Monarcha również nie skorzystał z przysługującego mu prawa łaski. Miałem być przy egzekucyi obecnym.

Był to ciemny, mglisty poranek listopadowy. Stracenie oznaczono na godzinę ósmą. Kiedy wyszedłem z lekarzem na dziedziniec, kat, który przywiózł właśnie gilotynę z Kolonii, dawał ostatnie wskazówki swoim pomocnikom. Był on, jak zwykle, we fraku i białym krawacie i nakładając z trudem białe, glansowne rękawiczki na czerwone, rzeźnickie ręce — oglądał rusztowanie i maszynę — tu kazał wbić parę gwoździ — tam poprawić jakiś szczegół. Wreszele skontrolował ostrze noża. Jak przy każdej egze-

kucyi, przypomniła mi się stara rewolucyjna piosnka, którą śpiewali zdobywcy Bastylli na cześć wynalazcy morderczej maszyny dra Guillotina. Mimowoli mruczałem szydercze strofy:

Guillotin

Martwił się,
Że wieszają dotąd ludzi.
Fe! to obrzydzenie budzi
Nie, to niemoralne — nie!

I raz dwa

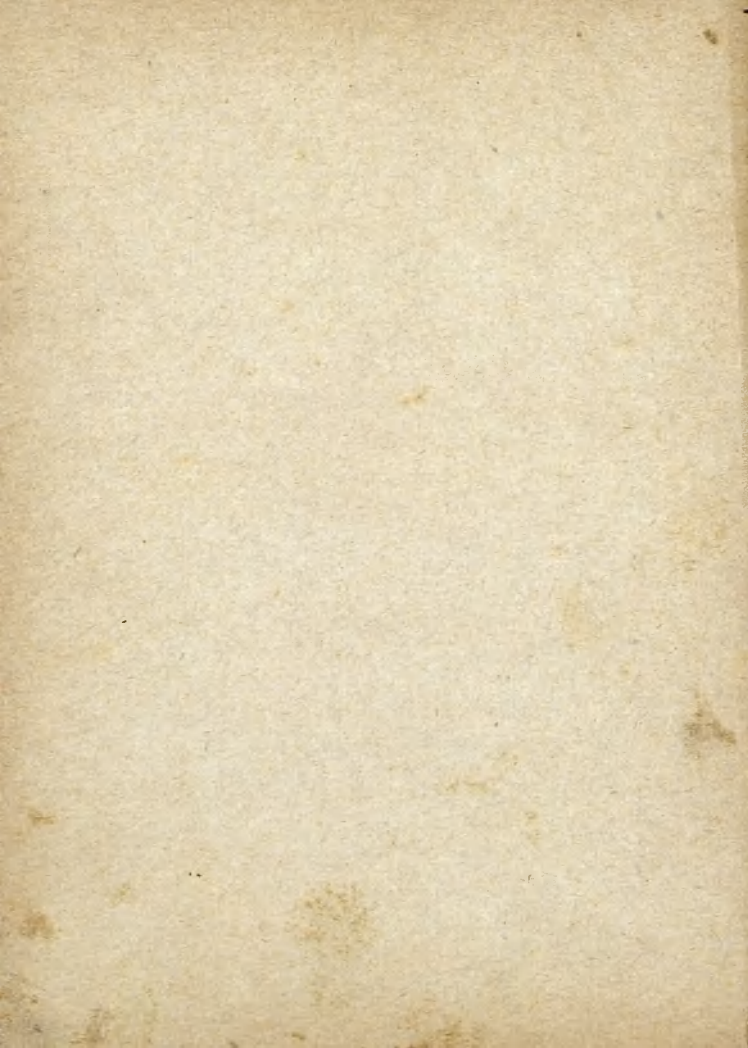
Pomysł ma,
Myśl genialna go przenika,
Która, bez powroza, ślicznie
Robi z kata... politycznie
Urzędnika.

Stary dyrektor przerwał mi zawiadomieniem, że wszystko gotowe. Rozkazałem przyprowadzić skazańca i brama więzienia otworzyła się wkrótce. Morderca, ze związanemi z tyłu rękami siedł pośród sześciu dozorców — w towarzystwie duchownego, którego pociechy z brutalnym cynizmem odrzucił. Szedł po zawadyacku z tą samą zuchwałą, beczelną twarzą, którą widzieliśmy podczas całej rozprawy. Badawczo przypatrzył się rusztowaniu, a potem spojrzał ostro na mnie. I nagle, jakby odgadł moje myśli, złożył usta i zagwizdał głośno: Ta-ta-ta, ti-ti-ti, ta-ta ta! Poczulem gęsią skórę na całym ciele; Bóg wie,

skąd ten drab znał tę melodyę. Prowadzono go po stopniach rusztowania; zacząłem jak zwykle odczytywać wyrok: W imieniu króla itd. To trwało chwilę i przez cały ten czas słyszałem go gwizdzącego piosenkę gilotynową, tę melodyę, która mi od rana w głowie dźwięczała: Ta-ta-ta, ti-ti-ti, ta-ta-ta. Nareszcie skończyłem, podniosłem głowę i zadałem skazanemu zwykle pytanie, na które nie oczekuje się odpowiedzi i po którym następuje oddanie przestępcy katowi. To jest najstraszniejsza chwila, ta minuta przed gwałtowną śmiercią, która równie ciężką jest do przeżycia dla tych, co ją spowodowali i mają ją dokonać, jak dla tego, na którego wyrok spada. Ta chwila, która tamuje oddech i ścina krew w żyłach, która dławi śmiertelnem ściśnięciem w gardle i odrażający smak krwi na języku wywołuje. Nagle zobaczyłem spojrzenie, którem skazany obrzucił nas wszystkich, duchownego, lekarza, mnie i dozorców więzienia. Zasmiał się przeraźliwie i niewypowiedzianie pogardliwym tonem zawołał: „Całujcie mnie!“ Pomocnicy kata rzucili się jak zwykle na niego, skrępowali go rzemieniami, kat przycisnął guzik, ostrze zaskrzypiało i głowa spadła do wora. To idzie przecież tak przerażająco szybko. Słyszałem obok siebie ciężkie westchnienie, jakby ulgi.

Był to duchowny więzienny, wąty, delikatny człowiek, który zawsze po egzekucyi przez ośm dni bywał chory. „Do pioruna — zawołał lekarz więzienny — od trzydziestu lat, jak jestem w tym zakładzie, po raz pierwszy przy takiej okoliczności, nie potrzebuję zalać wódką wrażenia“. A kiedy nazajutrz przyniósł mi swój protokół do aktów, powiedział do mnie poufnie: „Wie pan, panie prokuratorze, myślałem nad tem: ten drab był panem położenia“. Tak, moi panowie: był panem sytuacji. My wszyscy byliśmy mu w tej chwili wdzięczni za to wyzwajające słowo i czujemy to jeszcze dzisiaj, kiedy o tem wspominamy. Ale najstraszniejsze jest to, że my to wyzwolenie z udręczającej, dusznej męki zawdzięczamy potwornemu mordercy i najbrutalniejszemu z ordynarnych wyrażeń, jakich lud używa. Że zawdzięczamy to wyzwolenie stwierdzonemu faktowi, iż najpodlejszy i najnędzniejszy zbrodniarz tem wyrażeniem piętnuje nas jako niższych od siebie, nas jego cnotliwych sędziów, przedstawicieli państwa, kościoła, nauki, prawa i tego wszystkiego, dla czego żyjemy i pracujemy.

MECZEŃSKA ŚMIERĆ NAUCZYCIELKI.



MĘCZEŃSKA ŚMIERĆ NAUCZYCIELKI.

Student Nikolew, który przybył na Côte d'Azur, Saby po silnem zdenerwowaniu uspokoić się, nadesłał mi wczoraj opis jednego z tysiąca tragicznych wypadków.

Nikolew, słuchacz petersburskiego uniwersytetu, na wieść o chorobie ojca, udał się do Stawropola (stacyi kolei Władykaukaskiej), dokąd przyjechał w wilgę opublikowania manifestu nadającego konstytucję.

Stawropol jest maleńkiem miasteczkiem, którego całą inteligencję stanowią nauczycielki szkoły ludowej. Rewolucjonistów niema tam wcale. Władze miejscowe, przeczytawszy ukaz carski, zwycięstwo Wittego, postanowiły cały swój gniew wylać na inteligencję, a mianowicie na nauczycieli.

„Oni to są sprawcami wszystkiego złego.. Oni nauczają lud czytać i pisać!!!“.

Najbardziej wściekłym i rozjuszonym był kler. Popi, na czele tłumu włóczęgów i zbójów, wpadli do szkoły i porwali nauczycielkę Praskowię Dugencową. B jąc, szarpiąc i plwając, gnali biedną ofiarę po ulicach miasteczka.

Wtedy to nadszedł pan Nikolew i przerażony, a także oburzony, począł robić uwagi popowi.

Ten zagroził mu, że to samo również i jego czeka...

— Jeżeli tak, to sprowadzę kozaków — zawołał młody człowiek.

— Dobrze, bardzo dobrze, możesz sobie iść, tem się tylko nam przysłużysz.

Student dał znać kozakom i natychmiast przybyły ich dwie seciny pod dowództwem atamana Bratkowa.

Nauczycielka podbiegła do nich. Wszak to było ocalenie, ratunek. Wyrывała się już z ręki katów; żołnierze w takiej liczbie, nie pastwiliby się nad bezbronnem dziewczęciem...

— Bracia! — zawołała do kozaków — ratujcie mnie...

— Patrzcie, do jakiego stanu doprowadziła mnie ta dzicz!...

Była bardzo blada, drżąca o ślicznych niebieskich oczach, szeroko otwartych z przerażenia. Suknia jej poszarpana była w strzępy; krew obficie spływała z policzków.

— Pozostawcie ją mnie — zawołał ataman do tłumu.

— Zrobię jej maleńki egzamin z polityki...

— A to wyśmienicie! — odrzekł pop rozradowany.

— Niech żyje ataman! On zawsze ma świetne pomysły! — wołali policyanci.

Weisnęli biedną dziewczynę pomiędzy szeregi kozackie. Na twarzy jej malował się pewien spokój. Pewną była, że ją teraz odprowadzą pod eskortą żołdactwa do więzienia i że w taki sposób pozostanie przy życiu.

Ale niedługo trwała w tem mniemaniu. Ataman porwał ją brutalnie za obydwie ręce i zmusił ją do ukłęknięcia przed nim. Teraz, — rzekł, trzymając ją w tak upokarzającej pozycyi — odpowiadaj na moje pytania.

— Jaką wyznajesz religię?

Nie otrzymawszy odpowiedzi uderzył nauczycielkę nahajką.

— Puśćcie mnie, puśćcie! — wołało to nieszczęśliwe dziewczę.

— Wiecie dobrze, że jestem prawosławna, sam pop może to potwierdzić.

— Tak, wiemy, że chodzisz do cerkwi, ale jesteś wrogiem cara tak, jak i żydzi...

— Nie, to nieprawda — zawołała Dugencowa — nie jestem wrogiem cara, pragnę tylko wolności dla mej ojczyzny!

— Aha! chcesz wolności! wiemy o tem! — krzyczał ataman siekąc nieszczęsną nahajką...

— Dlatego to z taką radością czytałaś manifest cara, zmyślony i napisany przez żydów.

— Nie, wy się mylicie! — żywo zaprotesto-

wała pauna Dugencowa. — Wszak, sam car daruje wolność swym nieszczęśliwym podwładnym.

— Aha! To ty chcesz prowadzić propagandę rewolucyjną, co? — ryknął ataman...

— No, chodźcie tu, bracia...

I nastąpiła krwawa, straszna scena:

Kozacy wraz z chuliganami w imię miłości dla cara, poczęli ją tłuc i kopać nogami.

Ociekająca krwią, pokaleczona w okropny sposób, zdołała jednak się podnieść i rozdzierającym głosem zawołała:

— Boże! umieram, spraw by krew moja przyczyniła się do zbawienia ojczyzny!

Lękając się, by słowa te nie wzruszyły którego z oprawców, ataman cisnął ją znowu o ziemię. Tłum roznamietniony widokiem krwi rzucił się na nią i dobił tym razem maczugami i młotami. Ale tem dzicz się nie zadowolila. Z okropnem wyciem i krzykiem zbójcy porwali wątłe, bezwładne ciało i jak piłkę podrzucali je do góry, coraz to wyżej i wyżej.

Strzępy ubrania nieszczęśliwej męczennicy fruwały w powietrzu. Wkrótce pozostało już tylko ciało, z którego krew ściekała na głowy chuliganów. Coraz to bardziej rozwścieczeni, znęcając się nad trupem, przytupując nogami krzyczeli:

„Śmierć studentom! Śmierć żydom!“

— Ależ panna Dugencowa nie była żydówką — przemówiłem.

— Nie, napewno nie — odparł Nikolew... — Była ona prawosławną, a pop wskazał ją tłumowi tylko dla tego, że była zwolenniczką Tołstoja. Bo chciej pan zauważyć, że ruch terazniejszy nie jest wcale wyłącznie antysemitycznym, dodał pan Nikolew.

— Policya i wszystkie ciemne siły reakcyi, jak gdyby sprzysięgły się obalić Wittego; one to postarają się, by ów manifest, wymuszony przez niego na carze, nigdy nie został urzeczywistniony.

— A jakież to był koniec tej krwawej bezejscnej sceny — zapytałem.

— Nic już nie pamiętam... Oszalałem... Wyłem... pędziłem przed siebie, bijąc pięściami na prawo, na lewo, nie pojmując, co czynię, co mówię, dokąd biegnę...

— Policya nie miała czasu mną się zająć... Mordercy oddani byli tej potwornej zabawie i przyglądali się okaleczonemu trupowi Dugencowej, który rozpadał się już na kawałki.

— Wróciłem do domu, rzuciłem się na łóżko i długo płakałem ze wstydu, jako Rosyanin... Potem nie wiem, co było. Zawezwany lekarz uznał, że muszę natychmiast z Rosyi wyjechać,

zamienić ten straszny krwawy kraj na inny, pełen słońca i kwiatów, aby tylko zapomnieć o tem, czego byłem sam naocznym świadkiem. Kazał to uczynić natychmiast, bo w przeciwnym razie nie ręczy za mój rozsądek.

Żałowałem potem, że doprowadził młodego studenta do tego opowiadania. Bo gdy opowiadał, mięśnie twarzy jego nerwowo się kurczyły, gorączkowym błyskiem świeciły źrenice, a na młodej jego twarzy malowała się jakaś niepojęta trwoga, niepokój i przerażenie.

I tak mówił dalej:

— Oto już od dwóch tygodni mieszkam w tej przecudownej krainie, gdzie mi nic tych okropnych scen nie przypomina, nie sypiam jednak po nocach, nie mogę zapomnieć. Jak tylko oczy zamknę, widzę to blade, drżące, okrwawione dziewczę na kolanach, wznoszące ku niebu te piękne niebieskie, pełne przerażenia oczy; i słyszę ją modlącą się, słyszę jej słowa: „Boże! umieram, spraw by krew moja przyczyniła się do zbawienia mojej ojczyzny!”

Usiłowałem pocieszyć młodego Rosyanina, odwrócić jego myśli, zwrócić uwagę na inne przedmioty, ale próżne były moje starania. Powracał wciąż do swych wspomnień, potrzebował wynurzyć się ze swego oburzenia.

— Nie będę się mógł uspokoić — rzekł wreszcie, jeżeli ataman Bratkow, sprawca tej potwornej zbrodni, nie otrzyma kary, na którą dobrze sobie zasłużył!

— Więc pan sądzisz, że on może nie być ukaranym? — zapytałem.

— Długo na to jeszcze nam czekać wypadnie — głuchym głosem odpowiedział pan Nikolew. — Mój ojciec pisze mi o tem.

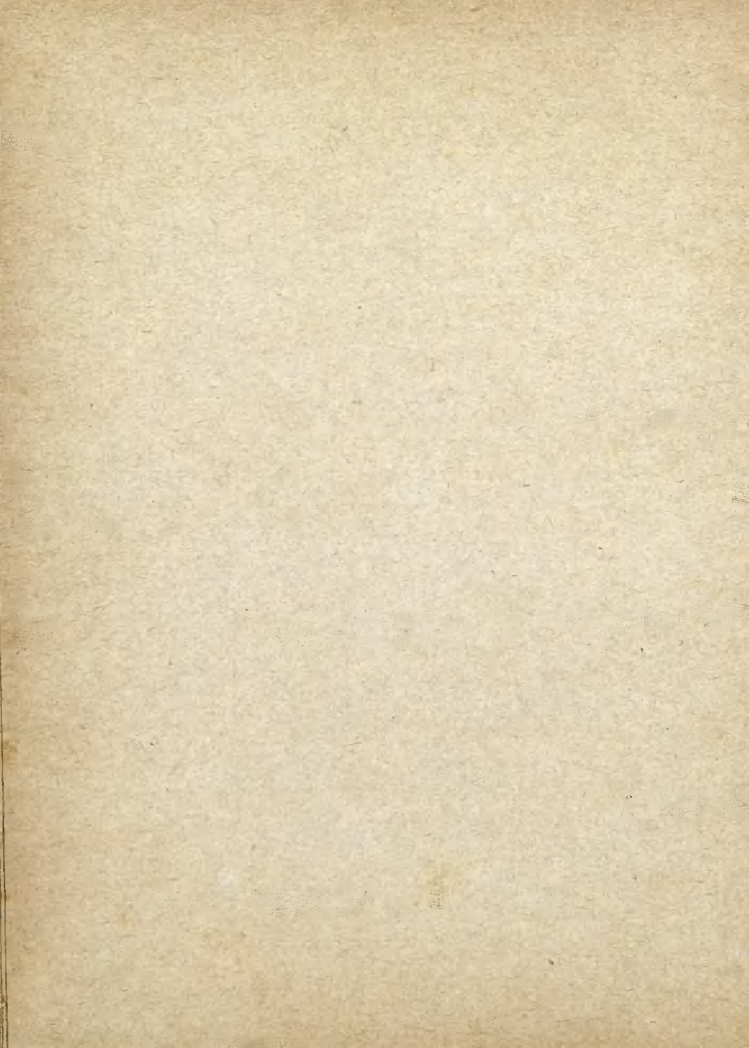
Wyjął gruby list z kieszeni i te słowa mi przeczytał:

„Wczoraj obywatele Stawropola telegrafowali do hrabiego Wittego, by natychmiast odwołał atamana Bratkowa i by mordercy panny Dugencowej byli jak najsurowiej ukarani. Wieczorem odbył się wiec, na którym postanowiono wnieść petycję do ucziwej prasy, aby zmusiła rząd do ukarania zbrodniarzy. Na tymże wiecu odczytano rezolucję: Rząd musi oświadczyć, że się solidaryzuje ze zbójami, albo ukarać jak najostrzej morderców, czyniąc zadość uczuciom wstrętu i oburzenia większości obywateli Stawropola“.

Widzę jednak, że Nikolew bardzo mało wierzy w skuteczność tego postanowienia. Żegna mię wzrokiem zmęczonym, nieprzytomnym, odchodzi, a potem wraca i zapytuje:

— Powiedz mi, czy widzisz ją? Czy słyszysz jej głos? Patrz, to ona: klęczy, ręce ma złożone, już bliska śmierci, woła: „Boże! Umieram! Spraw, by krew moja przyczyniła się do zbawienia mojej ojczyzny!“ ...

M. GORKIJ: ZBURZONA TAMA.



M. GORKIJ: ZBURZONA TAMA. (Z ROSYJSKIEGO). ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○

Słońce grzeje. Lekki wietrzyk. Morze łagodnie faluje. Łódź nasza mknie z fali na falę; żagiel rozpięty... Szeroki przestwór dokoła... W dali widnieje stara zburzona tama. Zbliżamy się ku niej. Fale z impetem uderzają o kamienną, zaporę i radośnie, swobodnie wtaczają się poprzez szeroki wyłom, wybity w tym wale.

„Morze nie lubi tam” — rzekł mój towarzysz, stary marynarz o twarzy spalonej wichrami.

— A czy dawno przerwało tę tamę? — zapytałem, myśląc z podziwem o potężnym rozmachu fal, które zmiotły te olbrzymie głazy.

— O, dawno już — odrzekł w zamyśleniu. — Wśród naszych marynarzy jest podanie — dodał — o walce morza z temi głazami. Chcecie — opowiem.

* * *

— Jak wolne ptaki w przestworzu, tak wolne były te fale... Matka-burza kołysała je pieśnią, i wesołe, bez troski, mknęły one w bezbrzeżną dal...

— Lecz posepny i zły tyran-człowiek, zazdroszcząc falom ich doli, postanowił je zakuć w kaj-

dany, aby nie kołysały się dumnie nad potężną otchłanią mórz, aby w słońca złotych promieniach, pod niebios jasnym lazurem, nie śmiały się one zalotnie!...

— Niewolników posłusznych on posłał: zimne skały z głębi ziemi dźwignęli i ciskali je w morskie odmety...

I wzburzyło się morze...

Wesoło patrzą się fale, jak skały na dno opadają. Skaczą, pienią się, śmieją, pieszcząc posępne głazy, tańczą fale: to mi zabawa!

— Z zimnego ziemi łona posępni zjawili się goście; powitajmyż ich pieśnią wesołą, rozgrzejmy gorącą pieszczotą, wspólnie z nami niech się wesela, wspólnie z nami błogosławią swobodę.

Młodym falom wesoło, wesoło.

Jeno burza i ojciec-huragan groźnym świstem gości witają, spoglądają na głazy posępnie.

A głazy opadają, opadają wciąż na dno, kładą się zwartym szeregiem, i rośnie potężna tama, i uciskać poczyną fale, bieg ich wolny krępując...

Stropiły się fale, spoglądając z przestachem na wysoką złowrobną tamę: po raz pierwszy zagrodzono im drogę.

I pędząc zwykłym swym biegiem, uderzyły piersią o skały... I z jękiem wstecz się cofnęły!... Niezdobyty, zimny mur...

I drgnęło morze...

W przerażeniu miotają się fale, pierś rozbi-
jając o skały.

Echem jęk poszedł po morzu...

Pędzą ponure fale. „Zdrada, ach zdrada!“ —
wołają. — „Witałyśmy je jak przyjaciół“.

Podstępem skradziono nam wolność“.

Załkała matka-burza... Z rykiem ku tamie po-
sępnej pędzi ojciec-huragan...

— O skały! o, groźne skały! I wy byłyście
niegdyś swobodne, wolnością pierś wasza dyszała...
Pocóż dziatkom ukradłyście wolność?

Nastroszyły się groźne skały.

— Nie nasza to wola! Ukradłyśmy, bo ukraść
nam rozkazano, — odrzekły echem grobowem i groź-
nie nad morzem zawisły.

Pędem pomknęła matka-burza, pomknął i oj-
ciec-huragan z wyciem i płaczem po morzu, fale
zwołując, falom wieść groźną roznosząc.

— O fale, o biedne fale! Zginęła, zginęła
wolność!... Od dziś jesteście w niewoli...

I odbiegły w dal...

A morze zamarło...

Potężne stare fale ukryły się w morskiej głę-
binie. Już nie zbudzi ich burza, nie wywoła oj-
ciec-huragan.

A młode fale posepnie się toczą, nie słysząc

śmiechu ni pieśni o dawnej wolności, i słońca promienie okryły się kirem; niebo chmurne, szary smutek rozlany dokoła... Tylko fale młodzieńcze, niekiedy bunt podnosząc przeciwko niewoli, zwartym hucem sunęły na wroga. Zwartą ławą uderzą o skały — ale nie drgnie wróg niewzruszony; jeno echo rozebrzmi żałośnie jękiem piersi rozdartych o głązy, jękiem mężnych obrońców wolności.

Morze płakało...

Mijały lata...

Minęło lat wiele...

Wiele fal młodocianych swe piersi rozbiło o skały.

Beznadziejna czarna rozpacz nad morzem zawisła...

Szemrały fale. — Wytrwałości! Niech-no siły nabierzem!

Mijały lata...

Młodociane fale zmęźniały. I na wsze strony rozesłały gońce, aby budziły pogrążonych we śnie, wszystkie fale na bój z wrogiem wołały.

I spuściły się gońce w odmęty, stare fale nawoływać do walki.

— Stare fale posępnie siwemi kiwają głowami. Niema siły w nas, niema zapału. Nie dźwi-

gniemy się już do boju, nie zmierzimy z potężnymi skałami!

Rzuciły się gońce-fale swych rodzonych szukać, matkę burzę, ojca-huragana wołać.

Szukały na morzu — niema; aż w górskiej znalazły szczelinie.

— Witajcie, rodzeni, witajcie! Wysłańcy fal my jesteśmy. Porzucajcie górskie wąwozy, i na morze śpieszcie coprędzej, i zerwijcie hańbiące okowy, w których jęczy duch braci — zakuty! Tehnijcie w stare, zastygłe fale ducha życia i żądzę wolności; groźne hufce bojowe gromadźcie i prowadźcie do szturm, na skały! Nie lękamy się walki, ni śmierci, jeno wolność chcemy zdobyć dla braci.

Zadrgało radością serce matki-burzy; ogniem spłonęła krew ojca-huraganu. Słowa gońców obudziły wspomnienia lat dawnych.

Miłośnie spoczął wzrok ich na młodych wysłańcach; z szczelin górskich w obszar morza bezbrzeżny leci okrzyk radosny, potężny:

— Idziemy, idziemy, idziemy wolność ratować, wolność ratować, wolność ratować. Powstańcie fale potężne, skruszcie niewoli okowy, zrywajcie tamy!...

Potężny był to okrzyk: śpiących budził, sta-

rych odmładzał, męstwo i wiarę do duszy wlewając!

I dźwigały się fale, i toczyły się naprzód, posłuszne wezwaniu do boju.

Głucha noc panowała nad morzem, czarne chmury wisały dokoła, gdy rozbrzmiało pierwsze hasło potężne.

Ze wschodu na zachód, z południa na północ gromadziły się fale, gromadziły w nieprzebrane zastępy.

Młode fale płoną męstwem, pierwsze rwą się do szturmu...

Błyskawicą nad morzem przemknęły; huragan na pomoc im leci. Ryknęła burza...

Zerwały się hufce bojowe...

— Naprzód, potężne fale! Śmierć lub zwycięstwo! — wołały i mknęły ku skałom posepnym.

Zadrżały czarne głazy... Oto pierwszy już szereg dopada... Piersi nadstawiają, piersią uderzyły o skały — i padły martwe... Krwią ociekają głazy, mężnych krwią bojowników.

Żali się burza-matka: „dzieci, rodzone dzieci! pierwsze już padły! Jeszcze wiele was padnie, ale dzisiaj moc wroga złamiemy!”

Morze wre...

Nowe hufce mkną na zmianę poległych... Nowe fale potężne i groźne... Z rykiem biją o skały

ostre zręby, odskakują i znów uderzają i, konając przywołują swych braci. A skały stoją mocno. Ale z uporem, mężnie toczą się fale, i nie widać ani końca, ni granic tych groźnych fal...

Morze odeszło od brzegów; wszystkie fale ruszyły do boju. Jęk i ryk się unosił nad morzem.

Jak lwy potężne, ruszyły stare fale młodym na pomoc. Rozwiały się kosmyki białych grzyw, zadrżała ziemia; z strasznym impetem rzuciły się do szturmu...

Przyszedł ranek, szary posępny ranek. A skały wciąż stoją nieporuszone, nieprzystępne... I wciąż gwiżdże nad falami burza, a fale wciąż giną i giną, pierś rozdzierając o ostre głazów krawędzie.

I zbiegli się ludzie strwożeni. Spoglądają z po-delbą rybacy, jak giną nieustraszone fale w zaciętej, nierównej walce. Serce ścisnęło się z bólu, smutek lży z oczu wyciskał, — do Boga się ludzie modlili, by walkę zaciętą ukrócił, by fa-lom dał wreszcie zwycięstwo.

Nawet zły tyran-człowiek, co w morze cisnął te skały, przeraził się teraz. I drgnęło wystygłe serce na widok cierpień morza. O, jakże chętnie cofnąłby teraz skały i fa-lom wolność przywrócił!...

Ale za późno... Już fale nie płaczą, już nie

blagają... Zbyt wiele ich tutaj zginęło, zbyt śledką jest zemsta za braci...

I z groźną odwagą, na potężny głos burzy, idą skały złowrogie szturmować... Słychać wokół: albo zimne te skały zburzymy, albo morze w grób się zamieni...

Równy toczą się, mężnie. Naprzód! naraz uderzyły w tamę — drgnęły skały, cios był potężny!... Zamarły fale, przysiadły i znów się rzuciły z wściekłością... Wszystko zginęło w zamięcie... grzmot i jęk zawisnął nad morzem... Dźwignęły się ze dna odmęty i morze zlało się z niebem...

I skały runęły!...

Zachwiały się pod ciosem ostatnim, z szumem spadły do morskiej głębin, gdzie poległe spoczywały fale.

— Precz, trupy shańbione! — ryczy morze do skał spadających — tu mogiła obrońców wolności, tu młodzieńcze spoczywają fale...

Rozwarło się dno morza i w mroczną bezden z przekleństwem runęły skały...

— Czyż nasza to wina? Chwała falom — nam hańba i wieczna niepamięć!

Święci tryumf bezbrzeżne morze. Zwyciężyło nieugiętą moc wroga. I swobodnie toczą się fale, sławiąc pamięć poległych bojowników, którzy

młode swe życie złożyli w ofierze na ołtarzu
wolności...

„Chwała poległym!

„Żyjącym — wolność!...”

* * *

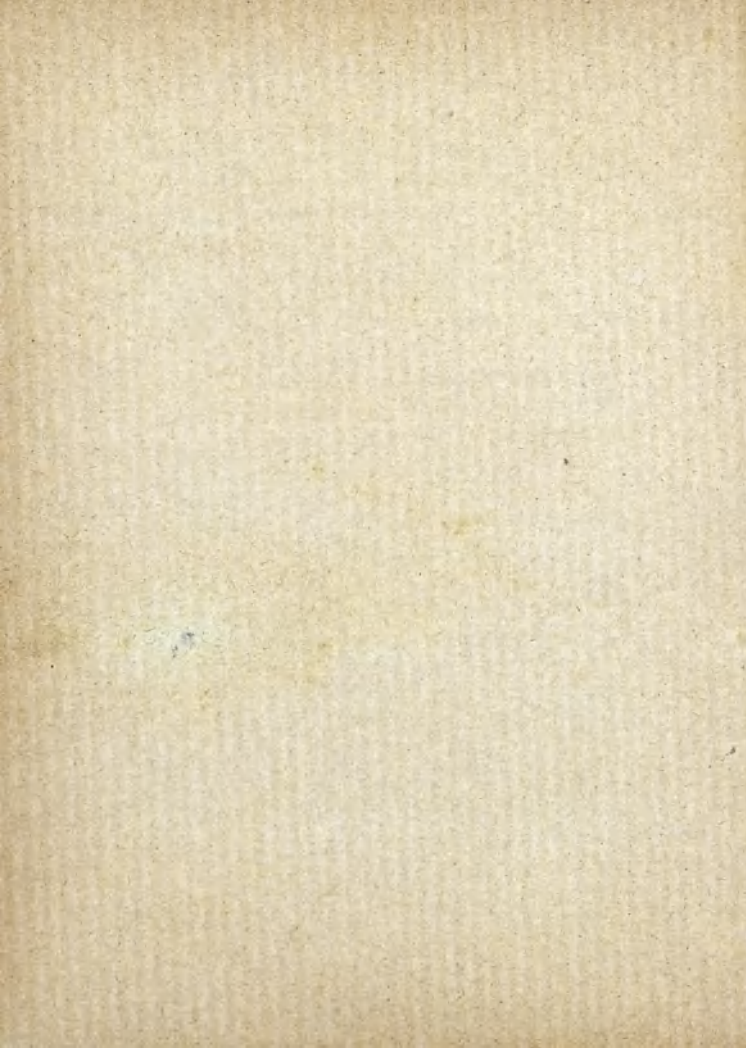
Siedziałem, oczarowany tą przedziwną ludową
legendą... Z czią spoglądałem na wolne fale,
od których biła moc jakaś i męstwo.

Nademną lazuruwa kopuła niebios; podemną
bezbrzeżne morze, zalane łagodnem światłem ma-
jowego słońca.

W oddali gwar życia miejskiego, zgiełk mar-
nej uciechy, czarny dym, brzęk łańcuchów i je-
ki, bezsilne jęki...

.
I wydało mi się, że hen tam gdzieś daleko,
daleko, za morza siną krawędzią, szaleje burza...

O ludzie! o nędzni, nędzni ludzie!...



ZMARTWYCHWSTANIE.



W. HUGO: ZMARTWYCHWSTANIE.

Jesteśmy w Rosyi. Nawa zastygła w biegu. Wznoszą się na niej gmachy i mkną po jej grzbiecie ciężkie karety. Niema tu już wody — wszystka obróciła się w głąz. Od brzegu do brzegu, tam i napowrót, chodzą przechodnie po marmurze, który był rzeką. Chcą wybudować gród cały! I oto rosną ulice, otwierają się sklepy, sprzedają i kupują; piją i jedzą i śpią; rozkładają ogniska tu, gdzie była niegdyś toń wodna! Tu możesz na wszystko sobie pozwolić i niczego się nie bać: chcesz? — śmiej się, skacz, tańcz nawet!... Doprawdy, tu nawet wszystko trwałe, niż na ziemi — wszak kroki rozlegają się, niby odgłos z grobu. Witam cię, zimo! Witajcie, wieży niewoli, zakrzepłe tutaj na wieki! A niebo! Spójrzcie? czyli to dzień jeszcze, czy też już noc. Białawe, blade światło zaledwie odbija śnieg. Pomyślałbyś, że słońce umarło!...

— O, nie! Ty nie umrzesz, swobodo! Kiedyś, gdy nikt już nie będzie się ciebie spodziewał, w tej godzinie, kiedy o tobie zupełnie zapomną — wtedy ukażesz się w blasku i naraz ujrzą wszyscy oblicze twoje cudne,

jak lśniąca gwiazda, zawieszona na horyzoncie nad ziemią! I wtedy, nad tymi śniegi, nad tymi lody, nad tą całą płaszczyzną, twardą, jak głaz, i białą, niby giezło zmarłego i nad tą wodą, którą czary zimy już dawno przemieniły w zbitą bryłę lodu — ty dorzucisz do swych złocistych promieni swe płomienne, gorejące gromy — i żar, i jasność, i życie!

— I otóż... cyt! Słyszycie tam głuchy przeciągły huk? Słyszycie trzask daleki, lecz straszliwy? To — powstanie! Nawa puściła! Rzeka swój bieg rozpoczyna! Żywe fale radośnie i gniewnie podniosły nienawistne lody i przełamały grób! Zdawało się, że to był granit: patrzcież więc — potłuczony w kawałki, niby szkło kruche! To zmarłychwstanie, mówię wam! To zwycięstwo prawdy i postępu! To tryumfalny pochód wolności, która szturmuje, porywa, wlecze, unosi i łamie i falą pochłania wszystko, co było podporą despoty!...

Przełożył J. G. M.

⌘⌘⌘⌘⌘ EPIZODZIK. ⌘⌘⌘⌘⌘

EPIZODZIK.

Od dni kilku panował w mieście względny spokój. Ulicami krążyły wprawdzie patrole piesze i konne, lecz już oddawna włączono to do zjawisk normalnych i życie »obywateli«, nie zakłócone czas jakiś »ołowiem«, wprawdzie wolno, ale ciągle wracało do swego trybu, gdy zaś pewnego popołudnia padać zaczął puszysty, wilgotny śnieg, po raz pierwszy od kilku tygodni, zarośla się ulica spacerującymi.

Niespodzianie, na jednym z rogów przechadzający się, wstrzymani zostali przez dwa wozy, które niefortunnie z całego rozmachu najechały na siebie. Obu klnących zapamiętale woźniców otoczyli wnet doradcy i współczujący, wyraźnie jednak dostrzedz było można na twarzach wszystkich jakby zadowolenie, że spór się toczy ot, o taką drobnostkę. Był to dla nich jakby widomy znak, iż stare życie powraca i bezwiednie prawie cieszą się, że niezręczność jednego woźnicy przedłużała sytuację.

I naraz wolno, potoczyście rozległ się wymierzony w tę grupę ludzi... strzał.

Po przeciągłym huku, jakby przelewaniu

się dźwięków w powietrzu, poznano karabin. Wszystkie oczy nieruchomo zwróciły się w jedną stronę i jakby zastygły w przerażeniu. Wyrzał powtórzył się, lecz już jakby bliżej, trzeci za nimi wprost ogłuszył swą bliskością. Przez kilka długich chwil strach odjął nogi, odebrał przytomność i wszelką zdolność orientacji. Dopiero pierwszy jęk padającego ciała, przywrócił zmysł samozachowawczy, wszczęła się panika, zaczęto uciekać.

Jak woda, zerwawszy tamę, pędzili ludzie przed siebie, na oślep, w szalonej chęci odbiegnięcia jak najdalej od miejsca wypadku. Ktoś wpadł do bramy i cała fala ludzka poszła za nim. Tutaj dopiero zaczęli się rozpraszać po piwnicach, schodach, litościwie otwieranych mieszkaniach. A na miejsce schronionych nadbiegali inni, coraz większą, zwartszą ławą, z coraz większym pospiechem. Niezadługo w ślad ich zaczęły się sypać strzały... Padały gęsto i celnie. Przedziurawiły wrotnie, które ktoś zatrzasnął z pośpiechem, i kładły pokotem człowieka za człowiekiem.

Tumult potężniał. Zgroza ostatnich dni wróciła ze spotęgowaną siłą, wywołana tak niespodzianie, wbrew wszelkiej rachubie. Jęki, rżenia, błagania o ratunek, mieszały się

z wstrząsającymi okrzykami rozpacz. Jak ze słońca nieba powitano człowieka, wysokiego, szczupłego. Doktor! Lekarz widocznie mieszkał w pobliżu i przybiegł tylko na odgłos strzałów. Rzutkiem okiem objął rannych i nachylił się nad jednym z nich.

Był to robotnik najwyżej 24-letni. Obie nogi strzaskane miał w miazgę powyżej kolan. Wył dziko i charczał, za dotknięciem doktora szarpnął silnie ręką, nie dając się ruszyć. Znać przyzwyczajony do takiego objawu, nachylił się on ku rannemu i szepnął mu kilka słów, robotnik w istocie głowę uniosł nieco w górę, szukając czegoś ustami, lecz ból wykrzywił mu twarz i znowu zajęczał. Kilka osób podeszło i wraz z lekarzem złożyło go na stopniach.

W tej chwili do grupki tej podeszło dwu żandarmów. Jeden z nich stanął w nogach robotnika, drugi z lewej strony. Doktor spojrział na nich z ironią, szybko zrzucił mankiety i odpinać począł ubranie rannego. Żandarmi również, szybko wyjęli z kieszeni rewolwery i trzymając je wymierzone wprost w piersi lekarza, spokojnie poczęli się przypatrywać, jak doktor przeciął rzemienie, ściąg-

gające spodnie, wyciągnął koszulę i rękami klasnął.

I było też czego. Koszula musiała nie być zmieniana już od kilku miesięcy, gdyż i na piersiach pot i kurz upodobił ją kolorem do brudno-szaro-burego ubrania robotnika. U dołu wisiała w strzępach tak różnobarwnych, że zdawać się mogło, że przysztukowano do niej frendzle jakiegoś starego kilimka. W tych miejscach, gdzie krew ją zalała, przylepiła się do ciała, tworząc brudną kałużę brązowordzawego odcienia. Z za strzęp skoczyło kilka owadów i woń silna, gryząca, kwaśna, dobywała się z tych cuchnących, przepojonych zgnilizną szmat.

Doktor zwiesił bezsilnie głowę i zastygł w kontemplacyi.

— Czewo? ofuknął go jeden z żandar-mów.

— Na koszulę patrzę — odparł.

— Zabierz się pan lepiej do roboty, a prędzej, bo niema czego.

— Niema czego? — wybuchnął doktor.

— A gdzie oczy macie? Widzicie tę koszulę, tak? Koszulę polskiego robotnika? Ona jest jego historyą! Wpatrzcie się w nią tylko! Brud i zgnilizna na niej była, a teraz krew,

sprowadzająca śmierć. I to wy, wyście to zrobili, szakale, mordercy!

— Nie razsużdasz, wtrącił spokojnym tonem drugi żandarm.

— Tak racya, tu trzeba tylko krzyczeć, krzyczeć na ten brud i krzyczeć na tę krew. coście ją teraz tak zbójecko przelali. Krzyczeć trzeba, wyjść na ulicę i tę koszulę za sztandar wziąć, ona świętszym jest niż inne. Ona nam jaśniej i wyraźniej mówi czem my teraz jesteśmy, czemeśmy zostali i czem wszyscy zostać na zawsze możemy, gdy się wam damy. Bracia! tu robotnik polski ostatnie chwile dogorywa, dla niego niema ratunku, tu na jego widok, na widok jego łachmanów, gorszych niż Łazarza, przysięgnijmy sobie zaciętą, wieczną walkę przeciw oprawcom. Bracia!

...Doktór odwrócił się już dawno tyłem do obu żandarmów i mówił do garstki wyrostków i robotników, wpatrzonych w niego, jak w tęczę. W chwili jednak, gdy głos mu rósł i potężniał, jeden z żandarmów schwycił go za rękaw i najspokojniejszym głosem zwrócił się do towarzysza:

»W uczastok!«¹⁾

¹⁾ Do cyrkułu policyjnego.

MAKSYM GORKIJ: SZARY.

MAKSYM GORKIJ: SZARY.

Na ziemi — tak rozpoczyna się powiastka — spór toczą ze sobą Czerwony i Czarny. Nienasycona żądza władzy nad ludźmi stanowi siłę Czarnego.

Czerwony zaś gorąco pragnie widzieć życie wolnem, rozumnem i pięknem. W tem życzeniu jego siła.

Jego myśl zawsze drżąca od wzruszenia, oświeśla ciemność życia gorącym płomieniem piękna, groźną łuną prawdy, cichem światłem miłości. Jego myśl zapaliła wszędzie potężny płomień swobody i ten ogień radośnie i gorąco obejmuje naszą ciemną, ślepą ziemię wielkiem marzeniem o szczęściu dla wszystkich.

Powiada on:

»Wszystko — dla wszystkich! Wszyscy są równi, w sercu każdego jest ukryty cały świat piękna, nie można kaleczyć istotę ludzką, zamieniając ją na tępe narzędzie bezmyślnej siły. Nikt nie powinien ulegać, nikt nie ma prawa zmuszać do uległości, władza dla władzy jest występkiem«.

Pomiędzy Czarnym i Czerwonym nieśmiało i prędiutko szwęda się malutki, jednostajny

Szary. On lubi tylko ciepło syte, wygodę pełne życie i dla swojego zamięłowania trzepie swą duszę, jak zgłodniała kobieta uliczna swe znikome ciało. Gotów jest on służyć niewolniczo wszelkiej sile, aby tylko zapewniła mu dostatek i spokój. Całe życie jest dla niego lustrem, w którym widzi on tylko siebie. On jest bardzo żywotny, gdyż posiada wszystkie talenta pasożyta. Wszystko mu jedno od kogo otrzymuje jadło — od człowieka, czy zwierzęcia, geniusza lub idyoty. Jego dusza jest tronem ślizkiej żaby, która zwie się podłością, jego serce jest rezerwoarem tchórzliwej ostrożności. On chce używać rozkoszy i zarazem niepokoi go obawa — to go robi fałszywym i podwójnym.

Jeżeli w walce o władzę zwycięża Czarny, Szary ostrożnie podjudza Czerwonego: »Patrz, jak rośnie reakcja«. Jeżeli zwycięstwo odnosi rycerz wolności i prawdy, Szary donosi Czarnemu: »Strzeż się — rozwija się anarchia!« Jego cielcem jest zawsze jedno: spokój i porządek — dla siebie. I bodaj za cenę duchowej śmierci całego kraju. Gdy czuje on, że Czarny zmęczył się walką, miesza się do sporu, który toczy pomiędzy sobą Czarny i Czerwony i zawsze oszukuje obydwu. Z uszano-

waniem, ostrożnie powiada on Czarnemu: »Ma się rozumieć, ludzie — to bydło, i pastuch jest dla nich niezbędny, ale zdaje mi się, już pora zwiększyć obszar pastwiska! Jeśli do tego, co mają, dodać jeszcze troszeczkę, to chociaż mniej będą mieli, aniżeli to, czego sobie życzą, ale zawsze więcej niż teraz. To ich uspokoi i Czerwony przestanie być niebezpiecznym — przecież cała siła jego polega na tem ich niezadowoleniu. Proszę mi pozwolić, ja pomogę to urządzić.«

Pozwalają mu i on urządza dla siebie życie dostatnie, ciepłe, pełne zadowolenia.

Czarny, zlewając się w Szarym, staje się jak gdyby mniej okrutnym, ale bardziej głupim i podłym. Czerwony rozpała się goręcej.

Wówczas Szary przemawia pouczająco do Czerwonego. »Naturalnie, już czas życie zastosować do ideału, ale odrazu nie można przecie zadowolnić wszystkich! Troszeczkę dziś, troszkę jutro, koniec końców ludzie będą mieli wszystko. Rachunek — to entuzjizm mędrca... Czarny ustąpi, jeżeli będziemy działać ostrożnie... pozwólcie, ja pomówię z nim szczerze...«

I pozwalają mu, czy też odmawiają, on

urządza dla siebie życie ciepłe, wygodne, zaciszne . . .

Czerwony staje się coraz bledszym. Czarny szerzej roztacza skrzydła swej władzy, życie staje się ciemniejszym, życia oddech wolnieje... Szary napawa się szczęściem spokoju. Może on zdradzić i sprzedać, zdolny jest do wszystkiego, ale nigdy nie działa uczciwie i nigdy pięknym nie jest.

Ta mała, dwudusznna gadzina zajmuje zaw sze środek pomiędzy ostatecznościami, przeskadzając im swoim samolubnem krzątaniem się, rozwinać się do końca, do absurdu, do ideału. Rozpływając się pośrodku, bezkarnie miesza on dwa zasadnicze kolory życia w jeden kolor bezbarwny, nudny, brudny...

Szary zatrzymuje śmierć tego co już żyć przestało, utrudnia rośnięcie tego co żywotne, on to jest wiecznym wrogiem wszystkiego, co jaskrawe i śmiałe.



SPIS RZECZY.

	Str.
Leonidas Andrejew: Otchłań	7
„ „ Marsylianka	59
Włodzimierz Korolenko: Dziwna wygnanka	67
Józef Jedlicz: Z jesiennych pieśni	99
H. H. Ewers: Panowie prawnicy	109
* * * Męczeńska śmierć nauczycielki . .	127
M. Gorkij: Zburzona tama	135
W. Hugo: Zmartwychwstanie	147
* * * Epizodzik	151
M. Gorkij: Szary	159



